

*Drogi Adamie!*

*Poprosilem mojego prawnika, by zaczekał rok, zanim wyśle ten list do ciebie. Tory będzie potrzebowała czasu. Pobraliśmy się, zanim skończyliśmy studia i ona musi się nauczyć, że sama może sobie dać z tym radę.*

*Ale będzie także potrzebowała trochę radości.*

*Wiem, jak bardzo ją kochałeś. I wiem, że ona kocha cię teraz bardziej niż mnie. Kiedy mnie wybrała, chociaż bardziej kochała ciebie, zacząłem wierzyć w cuda. I wyobraź sobie, że nigdy nie przestałem wierzyć. Była moim aniołem. A teraz, jeśli sprawy potoczą się tak, jak przypuszczam, ja zamierzam zostać jej aniołem.*

*Adamie, to moja ostatnia prośba i jedynie ty możesz ją spełnić. Jedź w rodzinne strony. Idź do niej. Spraw, żeby znów się śmiała. Naucz się znowu czerpać z życia przyjemności. Jeździć na wrotkach, na tandemie, puszczać latawca, siedzieć na' ogrodowych krzesłach nad jeziorem i oglądać, jak wschodzi Wielka Niedźwiedzica i Orion.*

*Zawsze trochę się martwiła, czy ułożyłeś sobie życie.*

*Ale teraz wie o życiu nieco więcej. Nie będzie się bała przyjąć tego, co jej przyniesie.*

*Nie licząc Tory, ty byłeś moim najlepszym przyjacielem.*

*Wiem, dlaczego się usunąłeś. Szalała za tobą i prawdopodobnie wciąż szaleje, ale ja nie zwariowałem. Będę nad wami czuwał. Obiecuję.*

*Mark*

## ROZDZIAŁ PIERWSZY

- Odejdź.

Adam pomyślał, że takie powitanie nikogo by nie ucieszyło.

Szczególnie gdyby ktoś przebył przeszło trzy tysiące pięćset kilometrów, żeby to usłyszeć.

Ale on się cieszył. Prawdopodobnie dlatego, że jego wariackie zadanie skończyło się, zanim się rozpoczęło, a wcale nie z tego powodu, że zobaczył ją po blisko siedmiu latach.

- Mówiłam ci, żebyś sobie poszedł - powtórzyła stanowczo. Spojrzał na nią z namysłem. Stała z ramionami skrzyżowanymi na piersi, niecierpliwie stukała stopą i, jeśli dobrze widział, jej oczy rzucały gniewne iskry.

Siedem lat temu nie była piękna i nie zapowiadała się na piękność. Podczas lotu tutaj wypatrywał kobiet w jej - i jego - wieku i obserwował je uważnie. Nabierał pewności, że ona stała się już grubym koczodanem. Albo że lakier sztucznych gestów stłumił ów wdzięk elfa, który sprawiał, że mówił do niej "urocza". Reagowała na to zawsze ze smutkiem, który jeszcze dodawał jej uroku.

Tymczasem nie zmieniła się, nie straciła swojego wdzięku. Wcale nie utyla i oczywiście nie przypominała koczodana. Żadnego lakieru sztuczności. Byli rówieśnikami po trzydziestce, ale w zadziwiający sposób ona wciąż wyglądała tak jak wtedy, kiedy ujrzał ją po raz pierwszy w szóstej klasie. Miała czapkę baseballową, obróconą daszkiem do tyłu, te same czerwonożłote loki, rozsypujące się w nieładzie wokół twarzy, ten sam perkaty nosek usiany piegami, wydatny podbródek, małe, lekko skrzywione wargi. Tylko że teraz nie nosiła czapki baseballowej, a podbródek uniosła wojowniczo. Łuk jej warg wygiął się z dezaprobatą lekko ku dołowi.

Kiedy pierwszy raz się spotkali, nosiła za duży sweter i dzinsy odwinięte tak, że widać było opatrunek na jej kolanie. Mimo to uśmiechała się łobuzersko i tak jednocześnie ciepło, że jego dwunastoletnie serce stopiło się, wzruszone jak nigdy przedtem - albo raczej nigdy potem. Dziś ubrana była w zbyt obszerną męską koszulę i czarne kolarskie spodenki. Wiedział, że to głupie, ale popatrzył na jej kolana, wędrując wzrokiem w dół. Odkąd pamiętał, przez całą młodość martwiła się swoją chłopcę sylwetką, ale nic się nie zmieniło. Była wiotka i smukła jak młode drzewko.

Kiedyś lamentowała często, że jest tak zaokrąglona jak linijka. I na zawsze wyznaczyła linię jego serca, czyniąc ślepym na wdzięki pełnych kobiet. Trzymała klamkę drzwi, jak gdyby był brutalem, który wepchnie się bez zaproszenia, siądzie na kanapie i zażąda herbaty. Nie, nie herbaty - piwa.

Czy naprawdę takie miała o nim wyobrażenie? Przecież odrzuciła go dla kogoś z lepszej rodziny ... Oczywiście, gdyby naprawdę tak o nim myślała, wiedziałaby, że te marne drzwi z zabezpieczającą

siatką podwiniętą na rogach nie mogą utrzymać go z dala.

- W każdym razie już sobie idziesz.

- Wcale nie idę.

Z prawdziwym zaskoczeniem przyjął własne słowa. Przede wszystkim dlatego, że nie chciał tu być. Przez całą drogę miał nadzieję i modlił się, żeby tak właśnie zareagowała. Mógł więc zrobić w tył zwrot i wsiąść do następnego samolotu do Toronto. To wystarczyłoby, żeby uspokoić sumienie.

Czyż nie przyleciał tutaj? Kto mógłby powiedzieć, że się nie starał?

- Jeśli nie odejdziesz, wezwę policję.

Zastanawiał się, czy powinien powiedzieć jej prawdę o liście w jego kieszeni. Coś podpowiadało mu, że jeszcze nie nadszedł odpowiedni moment.

- Nie, nie wezwiesz policji.

Popatrzyła na niego. Miała ogromne ciemnobrązowe oczy ze złotymi plamkami. Zawsze zwracały uwagę, tańczyło w nich światło, które przenikało ją całą.

- Nie mam ci nic do powiedzenia.

- Zawsze możemy porozmawiać o twoim brudnym kolanie.

Spojrzała na niego, pokręciła głową i trzasnęła wewnętrznymi drzwiami. Wstawiona krzywo szyba zatrzęsa się.

Nie było w tym nic śmiesznego dla człowieka, który przebył odległość wynoszącą trzy tysiące pięćset osiemdziesiąt dwa kilometry. Ale dla niego owszem. Przekonywał siebie, że uśmiecha się z innych powodów, nie dlatego, że znów ją zobaczył - jak światło zapalone w ciemnościach.

Wepchnął ręce do kieszeni i zakolysał się na obcasach. Powoli odwrócił się od drzwi. Mieszkała zaledwie jedną czy dwie przecznice dalej od miejsca, gdzie razem dorastali. Ona, on i Mark.

Osiedle Sunny si de, piękna, stara część Calgary, rozłożona na brzegach rzeki Bow. Stąd, z zadaszona ganku, mógł oglądać południową stronę ulicy i widzieć park, który ciągnął się wzdłuż rzeki prawie przez całe miasto. W alejce pod wysokimi drzewami kilka osób trenowało biegi.

Na ganku miała huśtawkę wyłożoną szarymi i różowymi poduszkami. Podeszedł i usiadł. Kątem oka zauważył, że gniewnie szarpnięta firanka zasłoniła drzwi.

Zaczął się huśtać, lekko odpychając stopą. Godzinę temu, kiedy samolot podchodził do lądowania, uprzytomnił sobie, że lubił Calgary i tęsknił za tym miastem.

Znana mu kiedyś dobrze okolica szybko się zmieniła. Młodzi, nieźle zarabiający profesjonaliści wykupili szacowne stare domy wzdłuż rzeki od samego centrum i przeprowadzili niewiarygodne wręcz remonty. Zaczynało się to już, kiedy zamieszkali tu z tatą, a on był w szóstej klasie. Ojciec Tory, lekarz, miał pięknie utrzymany stary dom, sąsiadujący z ich doniem. Z drugiej strony stał równie ładny dom rodziców Marka, którego matka była psychologiem, a ojciec - weterynarzem. Ich wynajęta rudera stała między tymi dwiema posesjami. On i tata, mechanik ze smarem pod paznokciami, radzili sobie jak mogli po śmierci mamy.

Usłyszał za sobą zgrzytliwy dźwięk otwieranego okna.

- Znikaj! - warknęła.

- Nie - odparł spokojnie.

Okno zatrzęsło się głośno.

Westchnął z pewną przyjemnością. Tory nie w humorze. Naprawdę nazywała się Victoria, Victoria Bradbury. To dobre

nazwisko dla bohaterki staroświeckiej angielskiej powieści, ale straszne dla łobuzicy, która wspinała się na drzewa, miała wiecznie obtarte kolana i temperament startującej rakiety.

Rozejrzał się dookoła. Ten dom miał prawdopodobnie sześćdziesiąt lub więcej lat; dobrze utrzymany, ładnie odmalowany - na żółto z szarą obwódką. Zauważył, że miała lekką rękę do kwiatów, podobnie jak kiedyś jej matka. Skrzynki w oknach wychodzących na ganek mieniły się kolorami, wieńcząc pierwszy tydzień czerwca w mieście, gdzie sezon wegetacji trwa bardzo krótko.

Jej dawny dom zawsze otaczały kwiaty. Przy domu rodziców Marka także był pięknie zaprojektowany zielony teren z krzewami, opatrywanymi na zimę, które poza tym nie wymagały wielkiego zachodu. Na jego podwórku walały się wraki samochodów.

Przypuszczał, że dlatego teraz nie odszedł. Żeby pokazać jej, kim się stał: prawnikiem noszącym

buty, które kosztowały więcej niż miesięczny czynsz, jaki tata musiał płacić za sypiącą się rudę. Jednak ona nie dbała o to, z jakiej rodziny pochodził, Mark zresztą też. Oboje wzięli go pod swe skrzydła od pierwszego dnia, kiedy się wprowadził. Stali się trojgiem muszkieterów - jeździli tam i z powrotem na rowerach po ulicach, budowali domki na drzewach, włóczyli się po parkowych ścieżkach nad rzeką. W ich domach zawsze były dla niego otwarte drzwi, obydwie matki traktowały go, jak gdyby był członkiem rodziny.

Na wspomnienie owych radosnych dni, pełnych śmiechu i braterstwa, ścisnęło go w gardle. Słowo "miłość" nie było za silne, by wyjaśnić, co łączyło ich trójkę, dlaczego drzwi trzech stojących obok siebie domów prawie się nie zamykały. Oczywiście stało się to, co nieuniknione. Dorastali i ich miłość zmieniła się. Obydwaj, on i Mark, zakochali się w Tory. Wybrała Marka.

Huśtawka okropnie zaskrzypiała. Słońce zachodziło i wylewało swoje blaski na całą ulicę, na wysokie drzewa i stare domy. Wyjął list z kieszeni i zaczął go znów czytać, chyba już po raz setny. Tory uniosła trochę zasłonę i wyjrzała. Ciągle tam był, siedział na ganku na huśtawce. Zdawał się nie zwracać uwagi, że zrobiło się już zupełnie ciemno, a pewnie i chłodno.

Nie ważyła się troszczyć o to, że on się przeziębii, zamruczała do siebie. O mało nie zemdlą, kiedy otworzyła drzwi, a za nimi stał Adam. Ten sam, a jednak całkiem inny. Ten sam, bo był tak przystojny, że zapierało dech. Włosy, teraz krótsze, miał czarne i lekko falujące. Ciągle opadały mu na jedno oko. W oczach, ciemnych jak z obsylianu, migotały wesołe, łobuzerskie ogniki. Prosty nos, szerokie, zmysłowe usta, olśniewająco białe zęby, ta sama blizna na podbródku. Zranił się, wykonując na motorze skok, na który nie odważyli się ani ona, ani Mark. Śmiał się, że to nic takiego, kiedy jej mama nalegała, by zabrać go do szpitala i założyć szwy. W następnym tygodniu złamał sobie rękę, skacząc na motorze nad tym samym urwiskiem.

Nie było w nim radości. Linia jego ust rysowała się zdecydowanie i srogo. Gdy otworzyła drzwi, miał bez wątpienia ponure spojrzenie człowieka obciążonego misją. A kiedy zapowiedziała, że ma sobie pójść, ten stary, dobrze znany wesoły ognek 1Japalił się w jego oczach. I rozjarzył się na widok jej brudnego kolana. Wzdrygnęła się mimowolnie, myśląc o jego spojrzeniu niemal tak mocnym, a także zmysłowym jak dotyk.

Miał zawsze w sobie jakiś magnetyzm, coś nieujarzmionego. Jego obecność elektryzowała, sprawiała, że inni chłopcy wydawali się mniejsi, znacznie mniej interesujący, jak gdyby oni byli czarno-białymi wycinankami, a on trójwymiarowy i jaskrawo kolorowy. Dotyczyło to nawet Marka. Tory zawsze sądziła, że Adam wyrośnie na mężczyznę, w którym będzie sporo dzikości, że skończy ubrany w czarne skóry, skacząc przez kaniony na motocyklach, które jako nastolatek tak kochał. Albo będzie podróżował po świecie w poszukiwaniu przygód - krokodyli, z którymi będzie walczył, panienek, które będzie ratował. Nie było w nim nic zwyczajnego, więc myślała, że będzie robił nadzwyczajne rzeczy. Zostanie tajnym agentem. Zdobędzie Mount Everest. Popłynie w samotny rejs żaglówką dookoła świata. Poleci w kosmos.

Kiedy usłyszała, że jest adwokatem, nie mogła uwierzyć.

Czuła się niemal rozczarowana. Adam prawnikiem? Wydawało się to niewiarygodne, póki nie ujrzała go na ganku, pewnego siebie i emanującego dobrobytem. Rzecz jasna, pewności siebie zawsze miał w nadmiarze. Ale nigdy nie wyobrażała go sobie w takich butach, jedwabnej koszuli, z lekko przekrzywionym krawatem, w spodniach wyprasowanych na kant.

Znów wyjrzała na ganek. Kiedyś Adam palił papierosy; ale jakimś sposobem wiedziała, że palić nie będzie. Dziki chłopiec został okiełznany. Wciąż jednak chochlik czał się w jego spojrzeniu i uśmiechu.

- Odejdź - wyszeptała.

Huśtawka zatrzeszczała, ale nie odszedł. Wiedziała, że będzie dobrym prawnikiem, więcej niż dobrym.

Zawsze miał talent do rozgryzania ludzi. Potrafił przewidzieć, jak postąpią. Czasem okazywał taką bystrość, że ona i Mark wyleniali przestraszone spojrzenia za jego plecami. I w przeciwieństwie do niej i Marka miał w sobie twardość. Nie było to związane z tym, że był synem mechanika, a raczej z tym, że wiedział dobrze, kim jest i czego nie pozwoli ze sobą zrobić.

Pewnie myślał teraz, że ona się podda i wyjdzie z domu, zwabiona dawnymi uczuciami i

ciekawością. Ale nie załnierzła dać mu tej satysfakcji. Pozwoli mu siedzieć tak przez całą noc. Weszła do łazienki i zatrzasnęła drzwi. Z niezadowoleniem przyjrzała się swemu odbiciu w lustrze. Wyglądała jak dzieciak. I czuła się również jak dzieciak. Pochyliła się, pośliniła palec i starła brud z kolana.

Adam prezentuje się teraz tak elegancko. Mogłaby się założyć, że spotyka się z umalowanymi paniusiami, które noszą tuniki naszywane cekinami i wyglądają w nich olśniewająco, a nie śmiesznie. Prawdopodobnie zabiera je do opery. Adam Reed w operze ...

Kiedyż to wyrósł na takiego faceta z chłopaka, który za domem rozbierał swój motocykl na części i z szerokim uśmiechem ~aglądał przez płot najej podwórko? Czarna smuga smaru na policzku sprawiała tylko, że wyglądał bardziej atrakcyjnie.

Ten chłopiec już znikł. Na jej ganku siedział wysoki mężczyzna, o szerokiej klatce piersiowej i ramionach. Jakaś niemal zwierzęca siła drzemała w elegancie wystrojonym w dobrze skrojony garnitur. O tak, wciąż było w nim coś szalonego, co czało się niebezpiecznie w ciemnych oczach, intrygowało, przydawało mu tajemniczości i atrakcyjności.

Zastanawiała się, czy jest żonaty. Zobaczyła w lustrze, jak krew odpłynęła jej z twarzy, a piegi stały się wyraziste. Czuła się prawie tak, jakby coś przewróciło się jej w żołądku.

- Och, co cię obchodzi, jeśli się ożenił? - upomniała własne odbicie.

Mówiła sobie, że interesuje ją tylko kobieta, która wyszła za takiego niewrażliwego drania jak on. Nie mogła jednak ukryć przed sobą, że to tylko wykręt. Musi więc ignorować Adama całkowicie, dopóki on nie odejdzie. Czy zaciągnęła zasłony i zamknęła zewnętrzne drzwi, żeby go nie wpuścić? Może raczej, żeby sobie uniemożliwić wyjście?

Na palcach wyszła z łazienki. W domu panowała teraz ciemność. Wyjrzała przez okno i zobaczyła, że on ciągle tam był.

Jeśli cokolwiek zostało w nim z dawnego Adama, będzie tam siedział jeszcze rankiem. I w przyszłym tygodniu. I w przyszłym miesiącu. Wiedziała, że nie potrafi go przeczekać. Tylko raz miała siłę mu odmówić. Ale dlaczego tak się go teraz obawiała? Trzeba pozwolić mu powiedzieć, co ma do powiedzenia i niech idzie w swoją stronę. Westchnęła i wzięła z kanapy pled. Z powodu bliskości Gór Skalistych w Calgary w nocy prawie zawsze był przymrozek. Co prawda Adam nigdy nie marzył.

Nie rób tego, mówiła sobie. Ale wiedziała, że to zrobi. I wiedziała, że on wie, że ona to zrobi.

Otworzyła frontowe drzwi i wysunęła się w ciemność na własny ganek.

Huśtawka nie wydawała żadnego dźwięku. Podeszła i usiadła przy nim, okrywając ramiona pledem. Chroniła się przed nocnym chłodem i jednocześnie miała cienką, ale wygodną barierę, którą się od niego oddzielała.

- Jesteś najbardziej upartym człowiekiem, jakiego kiedykolwiek spotkałam - oznajmiła.

Pachniał słońcem, płynem po goleniu i czystością. Wyciągnął rękę i bezbłędnie trafił na jej dłoń w fałdach pledu. Jego ręka była nadspodziewanie ciepła, zważywszy jak długo siedział tutaj w wieczornym chłodzie.

Wiedziała, że powinna cofnąć dłoń. Zamiast tego odwróciła się i spojrzała na niego. Jego oczy były ciemne i tajemnicze. Błysnęło w nich coś jeszcze, kiedy odwzajemnił jej spojrzenie. - Mam wrażenie, że czas się cofnął, kiedy widzę, jak siedzisz tu owinięta pledem. - Roześmiał się, ale ona była zła na siebie, wciągnięta wbrew własnej woli w przeszłość.

- Nie możesz cofnąć czasu - powiedziała i wyszarpnęła dłoń z jego ręki, chowając ją bezpiecznie w fałdach pledu.

Obserwowała okna domu po drugiej stronie ulicy. Zauważyła nowe, poziome żaluzje.

Zdecydowała, że są okropne.

- Wiem - odezwał się.

Wyczuła zmęczenie i żal w jego głosie. To złamało jej linię obrony.

- Ani razu nie przyszedłeś - wyszeptała. Siedział w milczeniu.

- Przykro mi - powiedział w końcu zduszonym głosem.

- Był twoim najlepszym przyjacielem i ani razu nie przyszedłeś, kiedy umierał.

Odwróciła się i patrzyła mu prosto w twarz. Teraz on odwrócił głowę.

- Ani razu nie przyszedłeś, kiedy chorował - powtórzyła. Nie przeproszał po raz drugi.

- Dlaczego teraz tu się zjawiłeś? - spytała.

Przykro, że on tu jest, przykro, że jest taki cholemił? uprzejmy, przykro, że tak lubiła, gdy trzymał jej rękę w swojej dłoni, przykro, że w świetle ulicznych lamp jest tak piekielnie przystojny ...

- Wróciłem właśnie, żeby cię odwiedzić - powiedział miękko. - Mam nadzieję, że spędzimy trochę czasu razem.

- Nie sądzę - odparła sztywno.

Jego ucho usłyszało w tym zaprzeczeniu coś innego niż odmowę.

- Przypuszczam, że nie jeździsz na wrotkach?

Wrotki, pomyślał. Ona będzie uważać, że zwariował. Ale robił notatki w kalendarzu i zapisał sobie na pierwszym miejscu wrotki. Trzy inne możliwości - puszczanie latawca, jazda na tandemie, wycieczka nad jezioro Sylwan i oglądanie gwiazd - chciał odłożyć na później, kiedy już przełamie lody.

Patrzyła na niego z niedowierzaniem, jak gdyby stracił rozum, co musiało wydawać się wysoce prawdopodobne. Oglądając ją w poświacie ulicznych lamp, czując przez moment w swojej dłoni jej miękką i ciepłą, ale mocną rękę, miał wrażenie, jak gdyby czas go unosił i rzucał w przeszłość.

- Oszalałeś? - spytała.

- Tak sądzę - odpowiedział.

A jednak jej oczy się zmieniły, uświadomił sobie. Dawniej zawsze był w nich uśmiech. Teraz patrzyły gniewnie i trochę smutno. Nie przypominała dziewczyny, która kiedyś zaśmiewała się do łez. Gdzie podziała się ta strona jej charakteru?

- Zrozum - odezwała się i jej głos nagle zabrzmiał ostro.

- Nie wiem, do czego zmierzasz, ale nie zawracaj sobie tym głowy. Byłeś mi potrzebny - Markowi też - dawno temu. Teraz już za późno. - Podniosła się gwałtownie, pled zatoczył dumnie łuk wokół jej ramion, poprawiła go i w jednej chwili z Tory zmieniła się w Victorię Bradbury. - Zabieraj się i spływaj. Nigdy więcej nie zawracaj mi głowy.

On też wstał, spojrzął z góry na jej płonące oczy i na jej miękkie, pełne wargi. Całował je kiedyś i na zawsze zapamiętał ich słodycz.

Zaszokowała go słowami: "Zabieraj się i spływaj". W Toronto prowadził wiele spraw. Nie mógł sobie pozwolić na tydzień wolnego akurat w tych dniach. Miał wspaniałą dziewczynę, która powiedziałaby "tak" w tej samej minucie, w której byłby skłonny spytać ją, czy za niego wyjdzie. Zastanawiał się, na co więc tu czeka.

- Wrócę jutro - powiedział cicho. - Koło dziesiątej. Zszedł z ganku. - Nie przejmuj się - wymamrotał.

Zamierzał przyjść o dziewiątej, żeby ją zaskoczyć. Teraz postanowił przespacerować się do hotelu po drugiej stronie rzeki. Uświadomił sobie, że idzie pogwizdując. Nie pamiętał, kiedy gwizdał ostatni raz.

Miał bardzo elegancki pokój hotelowy. Jak na syna mechanika, Adam bardzo łatwo przystosował się do luksusu. Rzucił okiem na zegarek. Prawie jedenasta, co znaczyło, że na wschodzie Kanady, w Toronto, dochodziła już pierwsza w nocy. Zbyt późno, żeby zadzwonić do Kathleen. Był z tego zadowolony. Nie mówił jej o szczegółach tego wyjazdu, powiedział tylko, że jedzie w interesach. Przynajmniej dotąd był to jedynie interes.

Dopóki nie ujrzał Tory.

Teraz miał wrażenie, że Kathleen wyczułaby to w jego głosie. Pomyślał, że on i Kathleen, też prawniczka, tworzyliby doskonałą parę, i że był już prawie gotów jej się oświadczyć.

Dopóki Tory nie otworzyła drzwi.

I odtąd już nic więcej nie wydawało się pewne. Myśli o Kathleen, byłej modelce o kruczoczarnych włosach i szafirowych oczach, rozwiały się jak fatamorgana.

Adam podszedł do małej lodówki i zbadał jej zawartość.

Wziął puszkę coli, chociaż wiedział, że potem nie zaśnie, dopóki na niebie nie pojawi się poranna zorza. Od kiedy to tak się postarzał, że boi się wieczorem napić coli, bo nie będzie spał?

W oczach Tory zobaczył odbicie kogoś innego. Ona wciąż widziała w nim chłopca, który kochał

ryzyko. Tak naprawdę to nie napój gazowany rozbudził go tego wieczoru. Rozpierała go dziwna energia.

Wziął swoją teczkę, położył na stole i otworzył z trzaskiem. Ujrzał porządne stosiki prawniczych listów. Robota dla faceta, który nigdy nie pił coli nocą, bo wybijała go ze snu.

Czy ona wiedziała, że został prawnikiem? Nie zapytała. Czy spyta jutro? Czy spyta dlaczego? I czy on powie jej prawdę?

Myślał o przyszłej profesji długo, zanim wybrał. Brał pod uwagę też, żeby zostać lekarzem, jak jej ojciec. Przez samą tę perspektywę, na nieszczęście, stał się wybredny. Zawsze udawało mu się ukryć tę wybredność w swojej naturze przed Tory i Markiem. Chyba uważali, że jest twardy. I był taki pod pewnymi względami. Miał dużą wytrzymałość na ból. Lubił robić rzeczy, od których chodziły ciarki po plecach. Nie czuł lęku wobec autorytetów do tego stopnia, że zachowywał się niemal głupio.

Ale tego dnia, kiedy w szkole średniej na lekcji biologii musiał rozciąć żabę, poznał, że zawód, w którym miałby do czynienia z krwią i częściami ciała, nie jest dla niego. Podejrzał, że nawet nie byłby zdolny przyjrzeć się pokrytym nalotem migdałkom. Stomatologia, świetnie płatne zajęcie, też niestety nie wchodziło w grę. Ojciec Marka był weterynarzem. Adam miał tylko złotą rybkę i nawet nie udawał, że tłuste pudle, które widywał w poczekalni ojca Marka, budzą jego zainteresowanie, wiedział więc, że to również nie jest jego życiowe powołanie.

Matka Marka pracowała jako psycholog, także godny szacunku zawód, ale niezbyt wielkie pieniądze. Nie pociągało go sondowanie sekretów cudzego charakteru, bo własne już zbijały go z tropu.

Księgowość była zbyt nudna, wydawało się więc, że zostaje mu tylko prawo. Miła, czysta praca, chociaż zetknął się też z kilkoma brudnymi przypadkami. Jednak miał do niej smykałkę. Wybił się, rozwiązywał problemy. Umiał przemawiać publicznie i dawał sobie radę z krzyżowym ogniem pytań. Prowadził naraz mnóstwo różnych spraw. Lubił to - ciągłe zmiany i nieustanne wyzwania. Jednak w jakiś sposób zdawał sobie sprawę, że został prawnikiem przez nią. Wybrała Marka, ponieważ oboje należeli do jednego środowiska. Wiedział intuicyjnie, że wykształcenie dawało paszport do tego świata. Otwierało wiele drzwi i pozwalało kupować różne miłe rzeczy, również poważanie.

Przysiągł sobie, że kiedy następnym razem poprosi kobietę, żeby spędziła z nim życie, ona powie "tak".

Problem w tym, że prawdopodobnie to będzie Kathleen.

Dwa razy piękniejsza niż Tory i dziesięć razy bardziej wyrafinowana. Tory miała już okazję i straciła swoją szansę. Wybrała Marka.

Ale teraz Mark umarł. I Mark go tu przysłał.

Zatrzasnął teczkę i wyjął z kieszeni list, wymięty od częstego czytania. Przymknął oczy. Naprawdę nie musi czytać go znowu. Ostatnia wola Marka: sprawić, by Tory się śmiała.

Mark: przystojny, wysportowany, spokojny, zrównoważony.

Dobry i rozsądny wybór.

Tacy rozsądni byli właśnie oboje - Tory i Mark. Założyłyby się, że nie pili coli o wpół do dwunastej w nocy.

Pociągnął duży łyk i nagle poczuł się strasznie zmęczony.

Pomyślał, że zaraz się przewróci. Odłożył list na stół, zrzucił ubranie i wśliznął się pomiędzy miękkie prześcieradła.

Niemal natychmiast zasnął.

## ROZDZIAŁ DRUGI

Budząc się rano, Adam nie bardzo wiedział, gdzie się znajduje. Powoli uprzytomnił sobie wszystko: Calgary, Tory, Mark, misja.

Jęknął, usiadł i przeciągnął się. Zobaczył puszkę coli, z której upił łyk i zastanawiał się, jak to możliwe, że czuje się tak, jak gdyby miał kaca. Obok puszek leżał list. Nie czytaj go znowu, zakazał sobie, a potem przeczytał go jeszcze raz.

*Drogi Adamie!*

*Poprosilem mojego prawnika, by zaczekał rok, zanim wyśle ten list do ciebie. Tory będzie potrzebowała czasu. Pobraliśmy się, zanim skończyliśmy studia i ona musi się nauczyć, że sama może sobie dać z tym radę.*

*Ale będzie także potrzebowała trochę radości.*

*Wiem, jak bardzo ją kochałeś. I wiem, że ona kocha cię teraz bardziej niż mnie. Kiedy mnie wybrała, chociaż bardziej kochała ciebie, zacząłem wierzyć w cuda. I wyobraziłem sobie, że nigdy nie przestałem wierzyć. Była moim aniołem. A teraz, jeśli sprawy potoczą się tak, jak przypuszczam, ja zamierzam zostać jej aniołem.*

*Adamie. to moja ostatnia prośba i jedynie ty możesz ją spełnić. Jedź w rodzinne strony. Idź do niej. Spraw, żeby znów się śmiała. Naucz ją znowu czerpać z życia przyjemności. Jeździć na wrotkach, na tandemie, puszczać latawca, siedzieć na ogrodowych krzesłach nad jeziorem i oglądać, jak wschodzi Wielka Niedźwiedzica i Orion.*

*Zawsze trochę się martwiła, czy ułożyłeś sobie życie.*

*Ale teraz wie o życiu nieco więcej. Nie będzie się bała przyjąć tego, co jej przyniesiesz.*

*Nie licząc Tory, ty byłeś moim najlepszym przyjacielem.*

*Wiem, dlaczego się usunąłeś. Szalała za tobą i prawdopodobnie wciąż szaleje, ale ja nie zwariowałem. Będę nad wami czuwał. Obiecuję.*

*Mark*

Za każdym razem, kiedy Adam to czytał, ścisnęło go w gardle. Zwłaszcza ostatni akapit przypominał mu z przejmującą ostrością Marka: solidnego, lojalnego, kochającego. W liście jego pismo było już naznaczone bólem i chorobą, chwiejne jak pismo starego człowieka lub dziecka. Patrząc na tę niewyraźne litery, Adam wzruszał się jeszcze bardziej.

Powiedział sobie, że zaczął dzień w nie najlepszy sposób.

Wstał z łóżka i odłożył list. Ale jego słowa pozostały: "Wiem, dlaczego się usunąłeś". Adam żałował, że Mark nie dopowiedział, dlaczego. Bo on sam siebie nie znał. Tysiąc razy chciał tu przyjechać. I tysiąc razy coś go powstrzymywało. Nie wiedział, co. Duma? Uraza? Gniew? Zdrada? Pokręcił głową. Mark zdawał się sądzić, że coś innego, ale mógł nie mieć racji. Adamie, przyjrzyj się lepiej temu bzdurnemu przypuszczeniu, że Tory cię kochała.

Kiedy dostał ten list, wiedział, że absolutnie nie może pojechać do Calgary. Czekają go kilka ważnych procesów. Siostra Kathleen wychodziła za mąż, a on był mistrzem ceremonii na jej ślubie. Miał harleya rocznik 1964 rozłożonego na części w garażu przyjaciela. Na miłość boską, nie mógł po prostu wlec się przez całą Kanadę, żeby pojechać na wrotkach!

I wtedy odkrył, że nie może nie jechać. Przez ostatnią prośbę Marka nie mógł spać nocami.

Odczytywał ten cholerny list tak często, że papier się przetarł. Ktoś by pomyślał, że ucisk w gardle powinien się zmniejszyć, ale nic z tego.

Tory, która się nie śmieje. Jak to możliwe? Przecież Tory była śmieszką.

W końcu się poddał. List nie pozwoli mu się wymknąć. Jeśli zastosuje się dokładnie do instrukcji Marka, spełnienie jego ostatniego życzenia sprowadzi się tylko do czterech rzeczy. Mógłby je prawdopodobnie załatwić w ciągu czterech dni. Najwyżej w ciągu tygodnia.

I być może tajemnica tego listu pozostanie nie odsłonięta.

"Wiem, dlaczego się usunąłeś". Wspaniale, rozmyślał Adam. Przynajmniej jeden z nas wie.

Wziął prysznic i ubrał się. Jak się ubrać na wrotki? Włożył dzinsy i białą dzinsową koszulę.

Wszyscy w Calgary noszą dzinsy, nawet prawnicy.

Wyszedł z hotelu za piętnaście dziewiąta. Biedna, zmęczona dziewczyna stała na rogu z koszykiem kwiatów. Pod wpływem impulsu kupił je wszystkie, a ona nagrodziła go nieśmiałym i miłym uśmiechem. W taksówce tłumaczył sobie, że nie przymierza się przecież do flirtu z Tory, ale musi jakoś przełamać jej niechęć, a jej słabostką były kwiaty.

Najpierw pomyślał, że przechytrzyła go i wymknęła się. Zadzwoił do frontowych drzwi i kiedy nie wychodziła, podszedł pod okno jej saloniku i zajrzał. Nie zaskoczył go wygląd tego pokoju -

koronki i antyki, biblioteczki, grafiki w jasnych kolorach, porozkładane dywaniki, meble z twardego drzewa, boazeria, tapety, bibeloty w ramce, kwiaty, świeże i suche, wiszące i we tłakonach. Domowo i uroczo, rodzaj pokoju, w którym siada się z fajką - nie zapaloną, skoro poprawił się pod tym względem i rzucił palenie - ze starym psem u stóp, z ulubioną gazetą w ręce. W takim pokoju można czuć się szczęśliwym.

Umeblowanie jego luksusowego mieszkania przypominało nowoczesny motocykl: czarna skóra i chrom. Jakoś nie udało ..

mu się stworzyć domowej atmosfery, ale też za nią nie tęsknił.

Aż do teraz.

Usłyszał słabe dźwięki muzyki i podążył w ich kierunku, jak pies za śladem. Zszedł z ganku na wąski trawnik, oddzielający jej dom od sąsiadów. Zatrzymał się przed wysokim płotem, który bronił dostępu do tylnego wejścia. Nie było furtki. Ale muzyka rozlegała się głośniej. Vivaldi. Kiedyś nie wiedziałby. tego i wcale by go to nie obchodziło.

Rozejrzał się dookoła, czy żaden z ciekawskich sąsiadów go nie obserwuje. Na ulicy nie było nikogo. Sąsiedni dom od tej strony nie miał okien. Splunął w dłonie, najpierw przerzucił przez ogrodzenie kwiaty. Zorientował się, że zaczął cicho podśpiewywać. Potem sam złapał za sztachety i przeskoczył na drugą stronę, lądując z głuchym odgłosem, stłumionym przez muzykę, w delikatnym krzaku. Wydawało mu się, że to mogła być magnolia, chociaż nigdy nie słyszał, żeby komuś udało się wyhodować magnolię w Calgary. Powtykał kilka ułamanych gałęzi z powrotem na miejsce, podniósł kwiaty i z ciekawością rozejrzał się po ogrodzonym podwórku Tory.

Kwiaty, które przyniósł, wydawały się zbędne. Otoczenie domu przypominało ogród na angielskiej wsi - wszędzie kwiaty i krzewy, między którymi biegły wąziutkie kamienne ścieżki. Słyszał szmer fontanny. Spojrzał na prawo i zobaczył taras, prawdziwe dzieło sztuki. Było tam wiele poziomów z kaskadami wody i ławeczkami, z glinianymi i drewnianymi donicami na drzewka i kwiaty. Na najwyższym poziomie, na który wychodziło wielkie francuskie okno przy ogrodowym stole, pod różnobarwnym parasolem, otoczonym przez wiklinowe kosze pełne suchych kwiatów i gipsówki, siedziała Tory. Pochylała się nad czymś, tak skoncentrowana, że wysuwała język. Słońce rozplomięło jej włosy.

Szukał wzrokiem miejsca, gdzie mógłby wyrzucić kwiaty, które przyniósł. Przywiędły bukiet wyglądał śmiesznie w porównaniu z niesamowitym zalewem kwiatów w jej ogrodzie.

Podniosła oczy, zobaczyła go i zamarła. Potem spojrzała na zegarek, co potwierdziło jego podejrzenia, że gdyby poczekał do umówionej godziny, nie zastałby jej w domu. Ale i teraz wyraz jej twarzy wskazywał, że zaraz zamierza sobie pójść, że ją zaskoczył. Najwyraźniej zgubiła ją praca, którą chciała skończyć.

Wszedł po schodkach na taras, trzymając przed sobą swój obwisły bukiet, propozycję zawarcia pokoju. Nie wyciągnęła ręki po kwiaty, zamiast tego skrzyżowała ramiona na piersi i patrzyła na niego wielkimi brązowymi oczami. Zobaczył, że układała suche kwiaty. Coś podobnego do wysuszonej kolby kukurydzy skręciła w łuk. Pod ręką miała pojemnik z klejem. Posługiwała się tak prostym materiałem, że zajęcie wydawało się niezbyt ekscytujące.

- Bardzo ładnie - odezwał się trochę od rzeczy.

- To moja praca. - Wzruszyła ramionami.

Odniosł wrażenie, że nawet w jej lakonicznej odpowiedzi kryła się niechęć.

- Jak się tu dostałeś? - zapytała.

- Przeskoczyłem przez ogrodzenie.

Przez moment w jej oczach błysnął uśmiech, ale natychmiast go stłumiła.

- Więc możesz wrócić tą samą drogą.

- To Mark zbudował ten taras, tak? - Zignorował jej propozycję.

- Tak.

Ogarnęła spojrzeniem taras. Jej spojrzenie złagodniało. Ona ciągle kocha Marka ...

Usiadł bez zaproszenia, kładąc mizerny bukiet na stole.

- Piękna robota.

- Wiesz, jak lubił budować.

- Tak, wiem.

Przypomniał mu się domek na drzewie, który zaczął powstawać, kiedy wszyscy troje skończyli po trzynaście lat. Mark miał zawsze mnóstwo pomysłów. W rezultacie domek był przedmiotem zazdrości każdego chłopaka i każdej dziewczyny w promieniu stu pięćdziesięciu kilometrów. Okna z okiennicami, sznurowa drabinka, którą można było związać na górze i na dole, solidny podest przed wejściowymi drzwiami.

- Czy domek na drzewie wciąż ...

- Jest u moich rodziców. Cieszą się nim teraz ich wnuki. Zdołał zbudować tylko domek na drzewie i ten taras. Nie zdążył zostać architektem. Zachorował, zanim zrobił dyplom.

- Przykro mi.

Rzeczywiście było mu przykro. Ale słowo "wnuki" obudziło jego czujność. Rozejrzał się wokół, szukając wzrokiem zabawek i innych znaków dziecięcej obecności. Z pewnością musiałby o tym słyszeć.

- Dzieci, które teraz cieszą się domkiem na drzewie, to nie twoje, prawda?

- Mojej siostry Margie. - Pokręciła głową, unikając jego spojrzenia.

Bardzo mgliście pamiętał jej siostrę. Była starsza niż oni albo przynajmniej tak im się wtedy wydawało. Teraz cztery czy pięć lat nie stworzyłoby takiej przepaści.

- Mark rozchorował się wkrótce po naszym ślubie.

- Och, Tory, nie wiedziałem.

- Czy to nie wszystko jedno?

Nie wiedział, więc nic nie odrzekł. Zresztą nie spodziewała się odpowiedzi. O ile się nie mylił, była ciągle w piżamie, puszystym, dwuczęściowym wdzianku ze wzorkiem w swawolące, tłuste aniołki.

- Czy to kawa tak pachnie? - spytał tęsknie. Zmierzyła go wzrokiem.

-, Dam ci w zamian ten bukietek. - Popatrzył kpiąco na , wiązanekę, mając nadzieję, że ona się roześmieje.

- To ma być przedmiot wymiany? Kwiaty już prawie padły - odparła z pogardą.

- O kawie nic nie wiem. Miałem okazję trzy lub cztery razy próbować w domku na drzewie ciasteczek, które upiekłaś, zanim zmądrzałem na tyle, żeby karmić nimi starego Brewstera. - Nic dziwnego, że ten pies był taki gruby. Przypuszczam, że nie tylko ty go dokarmiałaś?

To, że zadawała mu pytania, wzbudziło w nim nadzieję.

- Nie, również Mark. I twój tata - dodał.

- Mój tata? - Starła się wyglądać na obrażoną, ale dostrzegł coś w rodzaju uśmiechu na jej zaciśniętych wargach.

Wzięła kwiaty, wstała i poszła do domu. Spodnie od piżamy sięgały tylko do kolan. Miała wspaniałe nogi. Wyglądała, jakby bez większego wysiłku ciągle mogła przejechać na rowerze dwadzieścia albo trzydzieści kilometrów czy w ciągu pięciu sekund wspiać się na drzewo. Odwróciła się i pochwyciła jego spojrzenie. Spodziewał się niemal, że zatrzaśnie drzwi za sobą, obróci klucz w zamku i na dokładkę pokaże mu język, ale nie zrobiła tego.

Wróciła po kilku minutach z dzbankiem kawy w jednej ręce i kubkiem dla niego w drugiej.

Włożyła długi biały szlafrok, który zasłaniał cudowną linię jej kolan.

Nalała mu kawy. W pobliżu rozlegał się świergot ptaków. - Stworzyłaś dla siebie piękną przestrzeń, Tory.

- Posadziłam większość tych kwiatów dla swojej firmy. - Spojrzała na niego zażenowana.

- Jakiej firmy? - Wykorzystał moment pozornego pokoju między nimi.

- Robię suche dekoracje kwiatowe, jak ta tutaj. Sprzedaję je eleganckim sklepom z upominkami, na przykład na Kensington • albo na Mount Royal Square. Mam też kilka umów z Banff. W jej głosie zadźwięczała duma.

- Dobrze na tym wychodzisz?

- Bardzo dobrze. Lepiej, niż się spodziewałam. Nazwałam moją firmę "Ogród Victorii". - Oczy jej błyszczały dumą.

Miał ochotę przyciągnąć ją do siebie i zakręcić, dając upust radości.

- Adamie - zaczęła.

- Kawa jest wspaniała - powiedział szorstko, upijając łyczek. Rzeczywiście była wspaniała, miała egzotyczny smak, jak kawa, czekolada i mięta wymieszane razem. - Czy twoje ciasteczka są teraz lepsze?

- Mam lepszą rękę do kwiatów niż do ciastek. Adamie, co ty tu właściwie robisz?

- Nie mówiłem? Zabieram cię na wrotki.

- Ale ja nie chcę iść na wrotki!

Ja też nie, pomyślał. Jazda na wrotkach nie figurowała na jego liście 1 O 1 rzeczy, które chciałby w życiu zrobić.

- Dlaczego nie chcesz? - Zerknął na nią znad filiżanki kawy. Wyglądała pięknie, tak wzburzona, z lokami rozsypującymi się wokół twarzy, z wyraźnymi piegami na nosku. Zawsze kiedy się denerwowała, jej piegi stawały się bardziej widoczne.

- Jestem za stara - rzekła.

- Za stara, żeby się trochę zabawić? - O mało nie rozlał kawy .

- Och, Adamie, już dawno przestałam wierzyć, że życie jest zabawne.

W tym momencie po raz pierwszy poczuł, że powierzona mu misja zaczyna go obchodzić.

Zrozumiał już, po co się tu znalazł, dlaczego Mark go tu przysłał. Wiedział też, że musi wypełnić kolejne zadania.

- To musiało być dla ciebie bardzo trudne. Patrzeć, jak on umiera.

- To wcale nie było trudne - powiedziała twardo. W jej oczach pojawił się niebezpieczny błysk, podniosła wojowniczo podbródek. - To było niezwykle. Nie żałuję ani minuty z tego czasu, jaki poświęciłam, żeby towarzyszyć temu silnemu, odważnemu człowiekowi.

Skończyła mówić i jej spokój prysnął. Łzy popłynęły po jej policzkach. Otarła je niecierpliwie, ale płynęły dalej. Przymknęła więc oczy, próbując się opanować. Jej ramiona drżały, dostała czkawki. Rozszlochała się żałością.

Podszedł do niej, wziął ją na ręce i usiadł, tuląc ją do piersi.

Płakała i jej gorące łzy zwilżały mu koszulę, a on gładził jej włosy i szeptał z głębi duszy słowa, które nigdy dotąd nawet nie przychodziły mu na myśl.

Mówił, jak jest z niej dumny, że okazała się taka silna. Tłumaczył, że powinna płakać, że on pomoże jej znowu nauczyć się śmiać. Cały czas pamiętał, że ona ciągle kocha Marka, że jej miłość jest z gatunku tych, które nie liczą się, z przeszkodami, nawet ze śmiercią.

Wszystko się dobrze ułożyło. Poczłd ulgę. Nic już nie zagrażało jego przyszłości. Kathleen istniała naprawdę, doskonale do siebie pasowali. Zamierzał po powrocie do Toronto nie tracić więcej czasu i oświadczyć się jej. Kupią dom gdzieś na przedmieściu i pewnego dnia mogą mieć dzieci - 2,2 według państwowej statystyki.

- Jak? - Jej głos był słaby; stłumiony jego koszulą. Zaskoczony, przez chwilę zastanawiał się, czy ona pyta go, jak zamierza mieć 2,2 dzieci, czego nie mógł sobie właściwie wyobrazić.

- Co jak?

- Jak zamierzasz sprawić, żebym znów się śmiała? - spytała ponuro.

- Zamierzam zabrać cię na wrotki.

Odrzuciła w tył głowę i spojrzała na niego. Oczy miała spuchnięte od płaczu. Nagle zdała sobie sprawę, że znajduje się na jego kolanach, zwinięta w kłębek w jego ramionach.

- Nie poddajesz się, co? Zupełnie jak kiedyś!

- Jak buldog - zgodził się.

- Adamie, musisz sobie iść.

- Najpierw zabiorę cię na wrotki.

- A potem sobie pójdiesz?

Jako prawnik opanował kilka odcieni kłamania bez faktycznych kłamstw. Na przykład, mógł pochylić głowę w sposób, który niektórzy ludzie mogli wziąć za zgodę, gdy w kategoriach prawnych taka zgoda nie miała miejsca.

Podniósł głowę, co można było zinterpretować jako fazę wstępną potakującego skinienia.

Obciągnęła szlafrok i ześliznęła się z jego kolan.

Czekał na trzaśnięcie drzwi i zgrzyt klucza w zamku. Naprawdę ulżyło mu, kiedy niczego takiego

nie usłyszał.

Zdażył wypić całą kawę z dzbanka, zanim w końcu przyszła, z twarzą umytą, bez śladów łez. Włożyła jakiś okropny dres w najbardziej obrzydliwym odcieniu szarości, jaki kiedykolwiek widział. Nie zamierzała być w najmniejszym stopniu atrakcyjna, ale mimo to wyglądała niewiarygodnie pociągająco ...

- No dobrze - rzuciła. - Jeśli masz taki fatalny pomysł, to chodźmy.

Po chwili słabości jak najszybciej chciała zmanifestować chłodną godność. W jej oczach widać było przysięgę: nigdy więcej nie odsłoni się przed nim.

Westchnął.

Tory obserwowała Adama wstającego od stołu. Wyglądał wspaniale. Zawsze był taki, niewiarygodnie przystojny, ale nie tylko - również pewny siebie, co przejawiał się w każdym jego ruchu, zdecydowanym, ale zarazem pełnym elegancji.

Ubrał się dziś byle jak - w dżinsy, które przybrały kolor bładoniebieski od długiego i częstego noszenia, i białą dżinsową koszulę. Bardziej przypominał w tym siebie niż tamten facet w drogim garniturze, który zjawił się wczoraj pod jej drzwiami. Włosy opadały mu beztrudnie na jedno oko - piękne włosy, czarne, mocne i jedwabiste, włosy, które prosiły się, żeby ich dotknąć i odgarnąć. Robiła to kiedyś często, gdy jego twarz była jej bliska, kiedy on stanowił część jej życia, jak rzeka płynąca opodal. Zakładała, że z tego powinno się coś ostać stałego, niezmiennego.

Dzisiaj wszystkie kobiety, które idąc mijali, patrzyły na niego. Dawniej nie zauważał tego. A gdyby nawet, uśmiechnąłby się szeroko i odwrócił do Tory i Marka z pytaniem w oku: "Co się z nimi dzieje?" albo "Czy my ją znamy?".

Włożyła jedno ze starych ubrań sportowych Marka. Wiedziała, że wygląda w nim odstrasząco.

Ale początkowo zamierzała ubrać się w coś zupełnie innego. Kiedy weszła do domu, najpierw - z nieznanymi powodów - jego wzruszającą wiązankę włożyła do najpiękniejszego wazonu. W sypialni otworzyła szeroko szafę i przejrzała garderobę. Przymierzyła trzy rzeczy, w końcu zdecydowała się na ładne, białe, plisowane szorty i bluzę w odcieniu jadowitej zieleni, doskonale pasującą do jej włosów i oczu. Wyglądałaby jednak śmiesznie na wrotkach. Pomyślała więc o czarnych dżinsach i flanelowej koszuli. To już lepiej. Mało kobiece, niezbyt pociągające. Ten strój wspaniale podkreślał jej karnację i smukłą figurę.

Jeszcze tylko miała się przypudrować. Nagle ogarnęło ją zdenerwowanie. Co ona właściwie robi? Stara się wyglądać atrakcyjnie dla Adama! Jak gdyby jej serce nie stawało się bezbronne pod spojrzeniem jego ciemnych, błyszczących oczu.

- Rzecz polega na tym, żeby się go pozbyć - powiedziała do lustra.

Myśli, że kim jest? Przyjeżdża tutaj i próbuje odnowić starą przyjaźń, rządzić jej życiem, a opuścił ją, ich oboje, wtedy gdy potrzebowali go najbardziej!

To facet niebezpieczny dla jej serca, które nacierpiało się już tak, że chyba nie da się go uleczyć. Nigdy o tym nie mówiła. Mark by się na niej zawiódł. Mógłby mieć takie poczucie winy, jakie wzbudzał w niej.

- Nigdy nie pokocham nikogo innego - powiedziała teraz na głos. I dodała, już tylko dla siebie, że z całą pewnością nie Adama Reeda.

Pieczęłowicie umyła twarz, zostawiając nie przypudrowane piegi i worki pod oczami. Przyczesła włosy, ale nie użyła pianki, więc każdy połyskliwy lok sterczał osobno. Na samym dnie szafy znalazła stary dres Marka. Nienawidziła, kiedy go nosił. A na niej wyglądał nawet gorzej niż na nim.

W tym prowokującym stroju wróciła na taras za domem.

Oslupiała ze zdumienia, kiedy w zblazowanym spojrzeniu Ada ma wyczytała szczerą aprobatę.

- Jeśli nie chcesz znowu skakać przez płot, musisz przejść przez dom - odezwała się wyniośle.

Miała nadzieję, że wybierze skakanie. Nie chciała, żeby Adam widział pokoje, które oddawały jej wnętrze. Coś w duszy mówiło jej, że powinna się mieć przed nim na baczności.

Zatrzymał się od razu za drzwiami wychodzącymi na taras, czekając aż ona zamknie je na klucz. Byli w kuchni. Odwróciła się i próbowała popatrzeć na pomieszczenie jego oczami. Małe i

zagracone akcesoriami do suchych kwiatowych kompozycji. Ledwo było widać blat starego, dębowego, okrągłego stołu, na którym piętrzyły się naręcza gipsówki i kłęby różowej wstążki.

- Otoczenie mówi wiele o tobie. - Uśmiechnął się.

Właśnie tego się bała!

- No i co z tego?

- Kuchenka wygląda, jakby nigdy nie był używana, a mikrofalówka wręcz przeciwnie.

Rzuciła spojrzenie na kuchenkę. Lśniła czystością jak w sklepie. Mikrofalówka była poplamiona czymś czerwonym, zapewne sosem do spaghetti z ostatniej mrożonej kolacji.

- I nie jadasz przy stole, więc założę się, że jesz na tarasie, kiedy jest ładnie, co w Calgary nie zdarza się często. Poza tym jadasz w saloniku i oglądasz telewizję. Nie, nie, Tory. Muzyka. Słuchasz muzyki. Obserwujesz karmnik dla ptaków przed domem. I przyglądasz się, jak sąsiedzi odnawiają i dekorują domy.

Spojrzała na niego z ukosa. Trafny portret samotnej i uczuciowej duszy.

Adam zawsze oglądał i dostrzegał rzeczy, których inni nie widzieli. Niebawale spostrzegawczy i bystry, potrafił z kilku szczegółów wywieść całą historię.

- Pamiętałeś o tym? - spytała zrzędlawie.

- O czym?

- Że lubię oglądać cudze domy.

- Ach, Tory, mała podpatrywaczko ... Lubiałaś chodzić na spacer o zmierzchu, kiedy ludzie zapalają już światło, ale jeszcze nie zasłaniają okien.

- Każdy ma jakąś słabość - rzekła wyniośle.

Roześmiał się.

Wolałaby, żeby się nie śmiał. Wszystkie te lata gdzieś zniknęły, a ten śmiech przywrócił jej dawnego Adama, chłopca z sąsiedztwa, szalonego chłopaka, którego kochała do obłędu.

W tamtych młodzięczych latach było naturalne, że kochała ich obydwo - Marka spokojnie, Adama burzliwie. Wydawało się, że tak będzie zawsze. Oczywiście teraz wiedziała lepiej. Nie ma nic na zawsze.

Z podniesioną głową poprowadziła go przez salon, nie prosząc o komentarz. Ale również pokój oglądała jego oczami. Nagle zobaczyła, że jest mały i zagracony, jak salonik osiemnastoletniej babci, której wieczorną rozrywkę stanowią robótki na drutach i koty.

- Nie ma telewizora - uśmiechnął się z satysfakcją. - Podoba mi się twój dom, Tory. Bardzo podoba - dodał.

Otworzyła przed nim drzwi frontowe, przepuszczając go przodem. Wyjście było wąskie. Ładnie pachniał. Zamknęła drzwi na zatrask. On przytrzymał jej siatkę zabezpieczającą. - Dziękuję - mruknęła. - Twoim samochodem czy moim?

- Przyjechałem taksówką. Myślałem, że pójdziemy pieszo. Dzień jest piękny.

Dzień był rzeczywiście piękny. Spacer z nim ścieżką wzdłuż rzeki przypominał przechadzkę w przeszłość. Ta rzeka kiedyś wydawała się do nich należeć, była im bliska jak przydomowe podwórko.

- Jedziemy na wyspę? - spytała.

- Właśnie tam wypożyczają wrotki.

Powrót do dziecięcych terenów zabaw. Nie wiedziała, czy zdoła to wytrzymać.

Przeszli Memorial Drive i zmierzali w dół ku rzece. Słońce prześwitywało przez liście ogromnych drzew, które ocieniały alejkę, rzucając na ziemię zielono-złote wzory. Woda miała stalowy kolor.

Z ulgą stwierdziła, że nie mieli sobie nic do powiedzenia. A potem, z nieco mniejszą ulgą, że milczenie najwyraźniej bardzo mu odpowiadało. Nie musiała paplać, wymyślać czegoś inteligentnego, żeby zająć go rozmową, wypełniać ciszę między nimi. On też nie musiał. Z nim i z Markiem zawsze mogła być sobą. Wbrew woli poczuła nagle spokój.

- Z drogi, dziadku!

Chłopak, szesnasto- albo siedemnastoletni, przemknął obok nich na rowerze. Zeskoczyli z alejki w bok, Adam opiekuńczo otoczył ją ramieniem. Naraz poczuła się jak gdyby wróciła do domu. Czowała jego ciepło i bicie serca, widziała ciemny zarost na podbródku i policzkach. Miał dziwny wyraz

twarzy.

- Wszystko w porządku? - Cofnął ramię i już nie mogła patrzeć mu w twarz.

- Najzupełniej.

Zaczęła wycierać jakąś wymaglinowaną plamkę na spodniach, nienawidząc się za to, że tak bardzo chciała znów znaleźć się w jego ramionach. Rzuciła na niego jeszcze jedno spojrzenie.

Najwyraźniej nie zauważył, jak poruszył ją ten moment bliskości. Spoglądał na oddalającego się rowerzystę.

- Dziadek - zamruczał oburzony. - Czy ten przestępca naprawdę nazwał mnie dziadkiem?

Przytaknęła z szeroko otwartymi oczami, starając się stłumić chichot, ale jej się nie udało.

- Co w tym zabawnego?

- Twoja mina. Ten chłopak ... - Chichot, który jej się wyrwał, przypominał parsknięcie. - Co ten chłopak?

- Wyglądał jak ty, Adamie.

Roześmiała się teraz głośno śmiechem, którym nie śmiała się od lat. I wtedy zobaczyła uśmiech na jego twarzy i przypomniała sobie, że tym uśmiechem mógł zawsze zmieniać wszystko. Zły dzień zamienić w dobry, uleczyć zranione serce.

- Pędził na złamanie karku - przyznał smutno Adam, uśmiechając się i najwyraźniej nie potępiając jej parsknięć. - Nigdy nie wrzeszczałem na ludzi, żeby ustąpili mi z drogi.

- Och, byłeś jeszcze gorszy.

- Nie byłem.

- Ależ byłeś.

Nagle znów przysunął się bardzo blisko. Otoczył ją ramieniem i popatrzył prosto w oczy.

- Lubiłaś to, Tory - burknął.

Jej uśmiech zgasł. Zastąpiło go inne uczucie, które aż nazbyt dobrze przypominała jej obecność Adama. Jakby dreszcz emocji nad krawędzią przepaści, coś między strachem a wesołością.

- Co lubiłam?

- Mój bunt, bunt złego chłopca.

- Budziło to we mnie zawsze piekielny lęk.

Nie dodała, że teraz też.

## ROZDZIAŁ TRZECI

- Adamie, dlaczego my to robimy? - Tory wkładała rolki, zmagając się z zaczepami. - Ja nigdy nie lubiłam się ślizgać. Ty też nie.

- Wiem. Byłem jedynym chłopcem w Calgary, który nie grał w hokeja. Prawdopodobnie jedynym w całej Kanadzie. Czuję się napiętnowany przez dwadzieścia lat.

- Więc odpowiedz mi na pytanie. Dlaczego?

Poruszyła stopami. Chociaż posuwały się zgodnie z jej życzeniem, wydawały się mieć byt niezależny od reszty ciała. • - Dlaczego czuję się napiętnowany?

Rzuciła mu spojrzenie. Nigdy nie zwracał najmniejszej uwagi, co robi reszta świata i teraz też nie przejmował się tym. W błysku jego diabelnie ciemnych oczu odczytywała najwyższą pewność siebie - potrafił dbać o swoje sprawy. Ich wyprawa nie miała związku z tym, czy on grał w hokeja, czy nie.

Wstał i nogi mu się rozjechały. Chwycił się oparcia ławki, na której zakładali rolki. Starał się sprawiać wrażenie, że panuje nad wszystkim. Raz przynajmniej mu się nie udało, i to naprawdę było zabawne.

- Nie wstawaj - poradził jej. - Siedzmy na tej ławeczce, jakbyśmy właśnie odpoczywali.

Niech licho go porwie. Usta zadrgały jej znów w powściąganym uśmiechu.

- On się domyśli - wyszeptwała, spoglądając w stronę dzieciaka, który wypożyczał rolki, tego samego, który niedawno minął ich na rowerze.

Adam zrugął go za zepchnięcie ich z alejki. Chłopiec szeroko się uśmiechnął z łobuzerskim wdziękiem.

- Jasne, dziadku. Następnym razem będę uważał.

. - Nie jestem twoim dziadkiem - powiedział Adam niskim tonem, który kiedyś przyprawiał Tory o dreszcz.

- Tak, proszę pana - odparł chłopak, ani trochę nie zmieszany.

- A przy okazji, moje pokolenie mówi łyżworolki, a nie wrotki.

- Wydaje mi się, że bronilem jego brata w procesie o morderstwo. - Adam popatrzył teraz w stronę małej budki, gdzie chłopak pochłonięty był czytaniem komiksu. - Przykro mi, że byłem taki ostry. Nie mogła dłużej wytrzymać. Roześmiała się.

- No, jeśli nie chcesz na zawsze zostać dziadkiem, powinieneś odejść od ławki.

- Najpierw damy - zaznaczył elegancko.

- To jak stać na talerzu umieszczonym na toczącej się kuli.

Spróbowała się podnieść. Jej nogi wydawały się samodzielnie rozjeżdżać, każda w innym kierunku. Zgięta w pół zdążyła się chwycić siedzenia ławki.

- Przynajmniej ja ocaliłem moją godność, babciu - zakpił Adam.

Odrzuciła spadające na twarz loki i spojrzała na niego. Puściła siedzenie, wyprostowała się i zrobiła wypad w jego stronę. Chwyciła go mocno za przegub. Patrzy! na nią czarnymi oczami, a jej serce waliło mocno. To niezły pomysł, odjechać od niego. Ale gdyby odjechała, wylądowałaby na pupie tuż przed nim. Nie można zaprzeczyć, że dobrze byłoby trzymać się go.

- Ten mały gad nas obserwuje - westchnął.

- Więc odjedź od ławki.

Odjechał. Jego ramiona otoczyły ją mocnym uściskiem. Nie była pewna, czy zrobił postępy. Czowała się szczęśliwa.

- Obróć się w prawo - polecił lakonicznie.

Robiąc małe kroczki, obrócili się oboje, a potem odważyli na kilka chwiejnych kroków do przodu.

- Mały gad się śmieje.

- Adam, boję się, że my zaczniemy się śmiać.

Mężczyzna, który przebiegarobok, uśmiechnął się i kiwnął im głową.

- W porządku. To tyle, jeśli chodzi o wrotki. Jazdę na łyżworolkach. Tam chyba jest ta duża restauracja, obok której przechodziliśmy. Chodźmy ...

- Zapomnij o tym. To był twój pomysł. Musimy przynajmniej raz przejechać się dookoła parku. -

Park jest teraz mniejszy niż kiedyś?

- Nie.

- Dlaczego mnie torturujesz?

- Ponieważ próbowałam wyperswadować ci ten pomysł, a ty nie chciałeś słuchać. Obiecałeś mi zabawę, śmiech.

- Cóż, oni wszyscy się śmieją. - Spojrzał groźnie na gromadę rowerzystów, którzy przejechali obok.

- Nie możesz opierać się o mnie tak mocno. Przewrócisz mnie.

- Zdejmę rolki - zapowiedział rozpromieniony, znalazłszy wyjście z niemożliwej do opanowania sytuacji.

- Nie!

- A ty ich nie zdejmiesz. - Nie słuchał jej. - Będę cię prowadził.

- Nie!

- Możesz zamknąć oczy. Udawaj, że jesteś niewidoma. Zostanę twoim psem przewodnikiem. Gwarantuję ci minutę śmiechu.

- Nie, wykluczone. Nie.

- Nienawidzę, kiedy mówisz: „Nie, wykluczone. Nie”.

- Dawno tego ode mnie nie słyszałeś.

- Wydaje się, że nie tak dawno.

- Nie tak dawno? Kiedy to powiedziałam ci coś takiego? Nigdy ci nie odmawiałam.

- Owszem. Tej nocy, kiedy spytałem, czy wyjdiesz za mnie. Czowała, jak krew odpywa z jej twarzy. Oczywiście. Jedyne raz, kiedy odmówiła Adamowi.

- Przykro mi - wyjąkał. - Naprawdę nienawidzę tego. O wiele bardziej, niż przypuszczałem.

- Masz na myśli rolki czy coś innego? - spytała podejrziwie.

Westchnął, ale melancholia rozwiła się, kiedy jego noga skręciła na prawo i zmusiła go, by zwałił się jak pijany na Tory, o mało nie przewracając ich obojga. Na czworakach odzyskiwał równowagę. Adam zawsze zachowywał się z wrodzoną godnością. Wyglądał jak ryba wyjęta z wody z tym głupim wynalazkiem na nogach. Nie mogła sobie wyobrazić, co przywiodło go do tego, by włożył rolki.

Przeklinał bezgłośnie. Cały Adam. Zaczęła się śmiać. Popatrzył na nią. Śmiała się na całe gardło.

- Nie rozśmieszaj mnie, bo jeszcze upadnę.

Po raz pierwszy widziała Adama, kiedy czuł się tak nieswojo i nie panował nad sytuacją. To było cudowne.

Spróbowała odjechać.

- Nie tak cholemie szybko!

- Chyba już to chwytam. - Odbiła się drugą nogą.

- Tory, jedziesz za szybko!

- A pamiętasz, co zwykle odpowiadałeś, kiedy ci to mówiłam, jak jechałeś ze mną na motocyklu? - spytała.

Odbiła się mocno prawą nogą i ruszyła do przodu. Coś wzbierało w jej wnętrzu. Gdyby nie musiała tak uważać, wie-

działaby, co to było. Szczęście.

- Odpowiadałem zwykle: "Oczywiście, masz rację, Tory. Jadę za szybko". I wtedy zwalniałem.

- Ooo, jakie straszne kłamstwo. - Odbiła się lewą nogą.

- Nie kłamstwo! Luki w pamięci.

- Zawsze jeździłeś szybko - przypomniała mu, odbijając się raz jedną, raz drugą nogą.

Teraz jechała sama. Adam uczepił się jej łokcia, schylony wpół, na ugiętych nogach. Jego rolki wyglądały jak sklezione ze sobą.

- Byłem wtedy młody, niedojrzały. Teraz bym się tak nie zachowywał.

- A ja tak.

Posuwała się naprzód. On jej nie pomagał. Krępował jej ruchy tak, że traciła równowagę. Zaczęła się śmiać.

- Zbliżamy się do wzgórza - ostrzegł ją ponurym głosem.

- To nie jest wzgórze. Mały pagórek. Zwykle skakałeś na motorze z urwiska dziesięć razy wyższego.

- Ale panowałem nad sprzętem!

- Wydaje mi się, że skończyłeś w gipsie.

- Łamałem kości, kiedy byłem młody, zrastały się szybko.

Zjechali z małego wzniesienia. Śmiała się, czując wiatr wiejący jej w twarz. Adam ciągle kurczowo trzymał się jej łokcia.

Odwróciła się i zaczęła się śmiać jeszcze bardziej na widok jego ponurej miny.

- Ja się śmieję - zawołała do niego bez tchu. - Miałeś rację!

To jest zabawne ...

- Tory, zwolnij. To nie jest zabawne. Nie śmiejesz się naprawdę. Masz atak panicznej hysterii, który bierzesz za śmiech. - Spróbuj odbijać się, o tak...

I wtedy upadli, potoczyli się w dół, jedno na drugim, póki nie wylądowali na trawiastym poboczu alejki.

Nie przestawała się śmiać, chociaż kolano przeszył jej ostry ból.

Jego twarz była blisko, ciemne oczy, a w nich cały świat - gwiazdy, słońce i wszystek śmiech, którego zawsze potrzebowała.

Przez chwilę myślała, że ją pocałuje. Zamarła, pragnąc tego bardziej niż czegokolwiek przedtem. I zarazem mniej. Bo wiedziała, że jeśli on ją pocałuje, świat już nigdy nie będzie taki sam.

Faktycznie, świat zmienił się po tym, jak pocałował ją pierwszy raz.

- Chyba skręciłam nogę - wybełkotała, chcąc zyskać na czasie.

- Naprawdę?

- Boję się, że tak. Oo, boli.

Podpełzł do jej stóp. - Która to? - spytał.

- Prawa - jęknęła. - Prawe kolano.

- Podwinę ci nogawkę, żeby obejrzeć.

Tory leżała na wznak, patrząc na błękitne niebo z pierzastymi obłokami. Było mu łatwo podwinąć nogawkę dresu, który był cztery numery za duży. Zeby spodnie nie opadały ściągnęła je paskiem.

Poczuła jego rękę na swoim kolanie.

- Nie dotykaj - poprosiła przez zaciśnięte z bólu zęby.

- Trochę spuchło. Boli?

- Piekielnie.

Dwie kobiety, mniej więcej trzydziestopięcioletnie, bardzo eleganckie, prowadzące na smyczach wielkie psy, przedelfowały obok nich. Śmiały się głośno. Jedna z nich uśmiechnęła się szeroko do Adama.

Odwrócił się ze zmarszczonymi brwiami do Tory.

- Czy ja ją znam?

- Nie wiem - odparła zrzędlawie. - Znasz?

Nie okazał zainteresowania tym tematem.

- To nie wygląda groźnie, ale myślę, że koniec naszej jazdy na wrotkach. - Starał się ukryć zadowolenie w głosie.

- Na łyżworolkach - poprawiła go.

- Zobaczymy, czy przybrałaś na wadze.

Zapominając, że wciąż ma na sobie rolki, próbował się podnieść. Jedna noga pojechała do przodu, druga do tyłu. Trzasnął o ziemię z grymasem bólu. Powiedział coś, co rozśmieszyło kruczoczną, wysportowaną piękność, przejeżdżającą obok na łyżworolkach. Zdawał się jej nie widzieć. Usiadł, odpiął zaczepy i zdjął rolki. Najego twarzy pojawiła się mimowolna ulga. Tory znowu zaczęła się śmiać.

- Oto moja dziewczyna - powiedział. - Śmieje się w obliczu niebezpieczeństwa. Szydzi z bólu.

Odczuwała ból związany z faktem, że nie była jego dziewczyną. Z tego powodu czuła się jak zdrajczyni, mimo że Mark już umarł i nie miałby do niej żadnych pretensji. Raczej zachwycałoby go to, że ich wspólny przyjaciel wrócił. Nie zdawał sobie przecież sprawy, z jakim trudem przyszło jej ten jeden raz powiedzieć Adamowi "nie".

Rzecz polegała na tym, że była zwyczajną, prostą dziewczyną. A w Adamie nic nigdy nie było zwyczajne. Jak mógłby kiedykolwiek znaleźć z nią szczęście? Oświadczył się pod wpływem kaprysu, jednego z tych impulsów, z których słynął. W całej tej sprawie działał pod wpływem chwili, już kiedy zapukał do okna sypialni Tory o czwartej rano, żeby pokazać jej, jak chodzą motocykl, stary model, wyciągnięty ze złomowiska. Czy chce pojechać z nim na jazdę próbną do Banff? Obiecał, że postawi jej śniadanie, kiedy tam dojadą. Ta wyprawa była w jego stylu - radosna, obiecująca przygodę i dreszczyk emocji. I po drodze, tak po prostu ni stąd, ni zowąd, oświadczył Się:

Jej serce krzychało "tak!". Ale jej głowa mówiła, że przecież ona nie jest dziewczyną szukającą przygód. Chciała stabilizacji, życia biegnącego każdego dnia uregulowanym trybem, a na dodatek ogrodu pełnego kwiatów za sztachetami płotu i trójkołowca do jeżdżenia na spacerach.

Wybrała więc Marka, przyszłość bezpieczną i przewidywalną. Dwa tygodnie po ich ślubie postawiono mu diagnozę. Miał raka.

Nigdy nie miała wrażenia, że los sobie z niej zakpił, nigdy.

Poczuła się jednak upokorzona. Zrozumiała wówczas, że są rzeczy, które zależą od ludzi i takie, nad którymi się nie panuje, że w ogóle nie istnieje życie bezpieczne i przewidywalne, nawet jeśli się wszystko planuje bardzo pieczołowicie.

- Dobrze się czujesz? - przerwał te rozmyślenia Adam. Patrzył na nią uważnie, zbyt uważnie, jak gdyby chciał zajrzeć jej w duszę.

Kiwnęła głową i zmusiła się do promiennego uśmiechu.

- Znasz mnie. Szydzę z bólu.

- Obejmij mnie za szyję. Raz, dwa, trzy, hop.

Wstała. Trzymając się Adama, czuła się nadspodziewanie pewnie.

- Wracamy do mojego planu. Trzymaj się mnie mocno. Trzymała się mocno. Ogarnęło ją dziwne uczucie, jak gdyby wyrzuciła kamizelkę ratunkową i już pograżyła się w topieli. - Jesteś w skarpetkach - przypomniała.

- To taniocza.

- Nigdy nie kupiłbyś taniochy.

- Skąd wiesz?

- Nie kupowałeś nigdy tandety, nawet kiedy byłeś biedny.

Jakiś cień przemknął mu po twarzy. Poczuli się winni, że to powiedziała. Zawsze był czuły na punkcie tego, że miał mniej pieniędzy niż ona i Maik. Sądziła, że już wyrósł z tego, kiedy odniósł sukces.

- Nie obchodzi mnie, czy skarpetki kosztowały pięćdziesiąt dolarów. I tak już nie włożę tego cholerstwa.

- Widziałeś te ogromne psy, które tędy przechodziły? '- Będę uważał. A jeśli na coś nastąpię ...

- Będzie proces.

Powiedzieli to razem i wybuchnęli śmiechem. Zaniósł ją ostrożnie do budki i tak zimno spojrzął na chłopaka, że ten natychmiast odłożył komiks. Adam nastawał, by na klęczkach ściągnąć jej rolki i pomóc założyć buty. Dwie kobiety, które przechodziły obok, patrzyły na to z tak nie ukrywaną zazdrością, że Tory się zaczerwieniła.

- Restauracja nie jest daleko. Chodźmy. Kupię ci hot doga i poproszę o okład z lodu na twoje kolano - zaproponował.

Powiedz "nie", nakazała sobie. Zabawa skończona. Obiecał, że tylko rolki i do widzenia.

- Ta restauracja nie prowadzi hot dogów. A poza tym to nie jest pora obiadowa.

- Jest tam, skąd przyjechałem. Chodźmy, zjemy jakąś przekąskę, a potem zaniosę cię na barana do domu.

- Nie zrobisz tego!

- To nie pierwszy raz.

- Ostatnim razem ważyłam z piętnaście kilogramów mniej.

- I ja także.

- To było po grze w baseball, kiedy byliśmy w dziewiątej klasie.

- Możliwe, że ważyłem wtedy przeszło dwadzieścia kilo mniej - obliczał z namysłem. - To było tak dawno. Nawet nie mogę sobie przypomnieć, jak wtedy wyglądałem.

Ale ona mogła. Z kapeluszem odsuniętym na tył głowy, muskularny, jak na chłopca w jego wieku silniejszy niż wszyscy koledzy razem wzięci. Biegał jak wiatr. Oczy rozświetlał mu figlarny chochlik, który teraz był głęboko ukryty i rzadko dawał znać o sobie.

Do czego Adam zmierzał?

- Może być gorąca czekolada - powiedziała z namysłem. Ujęła wyciągniętą ku niej dłoń. Objął ją, a ona oparła się na

jego ramieniu i pokuśtykała kilka kroków, zanim nie wziął jej na rękę.

- Postaw mnie na ziemi. Jestem za ciężka.

- Ważysz tyle, co przemoczona kocię. I podobnie wyglądasz.

- Wyglądamy głupio.

- I co z tego? Kto nas tu zna?

Zawsze był taki. Inne dzieciaki martwiły się swoim wyglądem, ulegały presji otoczenia, chciały być częścią tłumu, musiały mieć firmowe kurtki i sportowe obuwie. Wydawało się, że Adama to *nie* obchodzi.

Poddała się i skuliła w jego ramionach.

- Jak, u licha, prawnik może być taki silny?

- Skąd wiesz, że jestem prawnikiem?

- Słyszałam gdzieś.

- Aż taki silny nie jestem. Robię tylko dobrą minę.

- Więc postaw mnie na ziemi, ty śmieszny człowieku. - Westchnęła.

- Nie - zapowiedział z uporem w głosie.

Wcale jej nie ścisnął, starał się nawet lekko oddychać. Po prostu kroczył z pięćdziesięciokilogramowym ciężarem w ramionach. Wyminęli pulchną kobietę pchającą dziecienny wózek, która puściła oko do Tory.

- Adamie, czy jesteś dumny z tego, co zrobiłeś ze swoim życiem?

- Dumny? - Popatrzył na nią ze zmarszczonymi brwiami.

- Nigdy tak nie myślałem. Sądzę, że to matka Teresa prowadziła życie, z którego mogła być dumna.

A ja? Ja tylko robię pieniądze. Kupę pieniędzy.

- Stałeś się cyniczny.

- Zawsze byłem cyniczny.

- To prawda.

- Znalazłem tylko sposób, żeby mi za to płacili.

- Adam, jesteś szczęśliwy czy nie?

Spojrzał na nią z góry. Szczęśliwy? Istotnie tak myślał o sobie. Odniósł sukces. Był tak zajęty, że w niektóre dni musiał decydować, który posiłek może opuścić. Miał miły romans. Wyremontował harleya davidsona z 1964 roku. Szczęśliwy?

Najszczęśliwszy był teraz, kiedy czuł słodki ciężar jej ciała i widział jej duże oczy, utkwione w jego twarzy. Głupota tych cholernych rolek uszczęśliwiła go.

- Więc co? - spytała.

- No pewnie. Jestem szczęśliwy.

Spojrzała na niego ironicznie, ale byli już w restauracji. Posadził ją na krześle. Zignorował duże brązowe oczy, wpatrując się w menu. Ona zamówiła gorącą czekoladę, on łososia. Łosoś był niesmaczny i Adam pożałował, że nie mieli tu hot dogów. Zaczął ją wypytywać o szkolnych kolegów, o matkę i ojca, o rodziców Marka i łączywie słuchał jej odpowiedzi.

- A więc - postanowił przejść do rzeczy - masz czas, żeby przejechać się na rowerze. Może jutro?

Prawdopodobnie zdołałby odfajkować obie rzeczy, rower i puszczenie latawca, w ciągu jednego dnia. Wtedy zostanie tylko jezioro. Przy łucie szczęścia mógłby się stąd wyrwać przed weekendem.

Popatrzyła na niego, jakby stracił rozum i pokazała swoje kolano.

Nagle zrobiło mu się niedobrze, bynajmniej nie z powodu śluzowatego łososia. Tory nie będzie w stanie jeździć na rowerze w najbliższej przyszłości ani też puszczać latawca. Jak długo? Przez tydzień, może dwa? Tydzień albo dwa spędzone tutaj, w towarzystwie duchów? I z nią, tak pełną energii? Czuł się popychany w nieznanym kierunku, tam, dokąd nie miał zamiaru iść.

Poprosił o rachunek. Wstała i dostrzegł grymas bólu na jej twarzy.

Na wyspie na środku rzeki Bow, w centrum Calgary, *nie* było żadnych dróg, nie jeździły tu samochody. Na tym polegał jej urok. Można się tu było dostać jedynie pieszo, przez mosty.

Zaproponował, żeby jakoś sprowadzić karetkę, ale Tory zabiłaby go, gdyby wywołał takie zamieszanie wokół niej. W końcu i tak zamierzał całą drogę nieść ją na barana. Teraz z każdym krokiem zbliżał się do dawnych uczuć.

- Prawnicy nie mają uczuć - wymamrotał do siebie.

- Proszę?

Spojrzał na nią. Nieczułem człowiekowi serce omal nie wyrwało się z piersi. Wiedział, że wplątał się w kabałę. Nigdy przedtem nie przejmował się kłopotami, ale na ten, z ciemnobrązowymi oczami, nie był przygotowany. Mężczyzna nigdy nie będzie przygotowany na kłopoty tego rodzaju, nawet jeśli miałby na przygotowania całe życie.

## ROZDZIAŁ CZWARTY

Adam spacerował po hotelowym pokoju. Na dywanie widać było wydeptaną przez niego ścieżkę. Czuł, że gdyby ktoś zaproponował mu papierosa, toby go przyjął, choć nie palił już od czterech i pół roku.

Zwykle podejmował decyzje w ułamku sekundy. Był w tym dobry, a ktoś mógłby powiedzieć nawet, że znakomity.. Dlaczego więc ta decyzja - jechać czy zostać - była tak trudna?

Wczoraj przez większość drogi niósł Tory na barana. Co jakiś czas upierała się, by pokuśtykać

samodzielnie kilka kroków, ale przeważnie podróżowała na jego plecach. Śmiali się histerycznie, jak dwoje dzieci na wagarach idących do sklepu ze słodyczami, z dolarem w kieszeni. Rżał jak koń, zaczepiając przechodniów tylko dlatego, że ją to rozśmieszało. Waliła go po plecach i żądała, żeby się natychmiast zatrzymał. Czy w taki sposób zachowuje się prawnik? Rzy w miejscu publicznym? No, więc ona nie może teraz jeździć na rowerze ani puszczać latawca. Sprawił jednak, że się śmiała. Po to tu przyjechał, zadanie zostało więc wykonane.

Wyjeżdżać czy nie? Właściwie nie miał żadnego powodu, żeby przedłużać pobyt. Jeśli nie brać pod uwagę jej spojrzenia, kiedy popełnił ten cholerny błąd i stawiając ją na ganku, musnął palcem jej wargę. Naprawdę chciał ją pocałować, ale pomyślał o czymś innym, o tym, co będzie, jeśli ją pocałuje i okaże się, że całował dziewczynę należąca wciąż do Marka. Lecz jej usta były tak miękkie, delikatne i kuszące, że częściowo się poddał. Dotknął koniuszkiem palca jej jedwabistej dolnej wargi. Doznanie było tak intensywne, że aż go oszołomiło. Całował wiele kobiet, ale żaden pocałunek nigdy tak go nie poruszył.

Pokręcił głową. Jeszcze jeden powód, by wyjechać. Zostawać nie ma powodu. Lecz kiedy wróci do Toronto, fakt, że ją rozśmieszył, nie wyda się wystarczający. Głupie jeżdżenie na rowerze i latawiec będą go prześladować. Nie ma więc sensu wracać, bo i tak skończy się na tym, że przyjedzie tu jeszcze raz, żeby doprowadzić wszystko do końca.

Lecz jaki jest sens zostawać tutaj, jeśli nie może spełnić pozostałych próśb z listu Marka? W najbliższym czasie to niemożliwe. Zeszłego wieczoru chciał zaprosić ją na kolację. Ciągle chodziło mu to po głowie. 'Skończył na zamówieniu do hotelowego pokoju lekkiego posiłku, który zjadł przy papierkowej robocie. Zadzwoił do Kathleen i nagrał się na sekretarkę. Powiedział: "Cześć, wszystko idzie dobrze". Dopiero gdy odłożył słuchawkę, zorientował się, iż nie wspomniał jej, że jutro wraca do domu, że tęskni za nią, że ją kocha.

Podszedł do okna i wsadził ręce w kieszenie. Ach, Mark, nie wiem, co robić.

Poranna godzina szczytu zakorkowała ulicę. Taksówka zajęła drogę mercedesowi, odezwały się klaksony. I wtedy, po prawej stronie ulicy, zobaczył pojazd, który dzielnie stawiał czoło autobusom, samochodom i ciężarówkom. Rikszę. Rower przerobiony na rikszę.

Nie chwycił nawet marynarki, opuszczając pokój. Zbiegł po schodach, przeskakując po trzy stopnie naraz. Wyleciał z hotelu. Łatwiej było zauważyć rikszę z góry. Pobiegł w kierunku, w którym zmierzała. Kiedy ją gonił, uświadomił sobie, że rozegrała się walka między jego sercem a umysłem. Umysł radził mu, żeby wyjechał, serce - żeby został. Jako prawnik lubił myśleć, że jego serce to organ niedorozwinięty. Rozumowanie i logika stanowiły władze, dzięki którym wygrywał w procesach i które rzeczywiście rządziły światem. Lecz jego niedorozwinięty organ wydawał się mieć teraz dużo władzy. Bo z jakiej innej przyczyny ryzykowałby życie, goniąc rikszę w tłoku porannego szczytu?

Zostań, mówiło mu coś niejasno, kiedy w końcu ujrzał, jak pojazd kluczy w ruchu ulicznym.

Zwiększył szybkość i odkrył, że jego sercu także nie sprzyja siedzenie za biurkiem. Biło jak szalone. Zostań, póki nie wypełnisz tego, o co prosił cię Mark, nakazywał mu surowo umysł.

Dobra, dobra, odpowiedział mu, sam podejmując decyzję.

Przeskoczył przez maskę samochodu i wylądował wprost na wolnym siedzeniu rikszy. Kierowca, który pedałowal jak szalony, ale bez wysiłku, obejrzał się nli niego. Adam zdumiał się, kiedy go rozpoznał, jeszcze zanim chłopak się odezwał. W jego głosie nie było najmniejszej zadyszki.

- 0, siema, dziadku. Dokąd to?

Tory przyłożyła łód na kolano. Nieprzyjemnie zimna strużka spłynęła jej po nodze do sandałka. Wytarła ją ręcznikiem. Patrzyła na swój ogród. Wczesnym rankiem to zawsze przynosiło jej spokój. Nawet w ostatnich dniach życia Marka, kiedy tu przychodziła, uspokajała się. Słuchała jakiegoś głosu w duszy, który zapowiadał, że wszystko będzie dobrze. Same kwiaty dawały lekcję życia i śmierci. Rozwijały się, zakwitały i umierały. Przynosiły piękno i radość, potem blakły i usychały, przez swą śmierć dając pożywkę następnym, które później zakwitną. Jednak tego ranka w ogrodzie nie znalazła ukojenia.

Miała jeszcze kilka spraw do skończenia przed sobotą - bolesne kolano nie zwalniało jej od żadnej.

Więc dlaczego tu siedziała, taka na niego obrażona?

Bo ją rozśmieszył. Wczoraj głupio rżał za każdym razem, kiedy kogoś spotkali. Śmiała się na całe gardło. Ale gdy postawił ją na ganku, wyraz jego twarzy daleki był od rozbawienia. Wyciągnął rękę i dotknął palcem jej wargi. CQś w tym dotknięciu, tak pełnym czci i tęsknoty, zdradzało, że Adam chce ją pocałować. Jednak nie uczynił tego. Schował rękę do kieszeni, drugą 'podał Tory na pożegnanie, i odszedł prędko, wołając przez ramię: "zobaczymy się jeszcze". Sprawiał wrażenie, że może zadzwonić i zaprosić ją na kolację.

Przećwiczyła odmowę na tysiąc różnych sposobów, ale na próżno, bo nie zadzwonił. Miała wiele powodów, żeby odmówić. Była zajęta. Nie mógł się spodziewać, że ona zawiesi wszystkie swoje sprawy dlatego, że się zjawił. Nadto nie było lojalne wobec Marka, chcieć spędzić wieczór z człowiekiem, który nawet nie mógł znaleźć czasu, żeby przyjechać na pogrzeb przyjaciela. Lecz ten palec na jej wardze nadał nowy wymiar sprawie.

Kiedy była z Adamem, coś w niej śpiewało i drżało odkąd skończyła cztemascie lat. Również kiedy powiedziała Markowi "tak", nie uwolniła się od tego niepokoju. Czy nie przyniósł jej ulgi fakt, że Adam wyjechał i nie wrócił? Czy wściekłość z powodu tego, że opuścił Marka, nie łączyła się z rodzajem wdzięczności?

Pokuśtykała do kosza z kwiatami i oberwała główkę przekwitłej petunii. Nie zadzwonił i nie zaprosił jej na kolację. To w jego stylu. Prawdopodobnie teraz był już w drodze powrotnej do Toronto, nie pożegnawszy się nawet przez telefon.

A nawet gdyby został, męczyłoby ją to dziwne poczucie utraty równowagi. I myślała o nim o wiele za dużo. Oderwała jeszcze jedną główkę petunii.

Usłyszała, jak coś upadło. Odwróciła się i zobaczyła Adama, który leżał jak długi pod płótem. Nie śmiej się z niego, przestrzegła się surowo.

Podniósł się. Miał smugę brudu na policzku.

- Och, cześć - rzekł od niechcienia, jak gdyby wpadł na nią w pralni chemicznej.

Uśmiechnęła się, chociaż wcale tego nie chciała.

- Och, cześć - odparła. - To zabawne spotkać cię tutaj - dodała mimo woli.

Zaśmiała się i wszedł po schodach na taras, przeskakując stopnie i promieniując wokół niewiarygodną energią.

- Jak kolano? Wygląda niespecjalnie.

- I niespecjalnie się miewa.

Spojrzała na ciemną głowę schyloną nad jej kolanem i zadrżała. Nie zapraszaj go na kawę, mówiła sobie. Jeśli była przekonana, że znajdował się w połowie drogi do Toronto, dlaczego dziś rano zaparzyła kawę na dwie osoby?

Wyprostował się. Mimo że tego nie chciała, wyciągnęła rękę i starła mu brud z policzka. Patrząc Tory w oczy, pocałował koniuszki jej palców. Cofnęła ramię.

- Chcesz kawy? - wybąkała.

Pocałował jej palce! Zaprosiła go na kawę. ZaIniastr powiedziec mu, żeby znikal, żeby wracal tam, skad przyszedl. Popatrzyła z wyrzutem na własną dłoń, jak gdyby ponosiła winę za to, co wymknęło się z jej ust. Otarła ją energicznie o dzinsowe rybaczki.

- Przyniosę kubek.

Wszedł do domu i słyszała, jak pogwizduje, zaglądając do szafek.

Usiadła na ogrodowym krześle, wyłożonym miękką poduszką. Co by było, gdyby Adam każdego ranka pogwizdywał i zaglądał do szafek w jej domu? Dopiero gdy go usłyszała, uświadomiła sobie, że w jej życiu panowała pustka. Pogwizdywanie Adama brzmiało tak, jak gdyby mogło tę pustkę zapełnić i przegnać stąd samotność.

Jak udało jej się tak skutecznie stłumić świadomość, że jest samotna?

.Niebezpieczne myśli. Mieszkał wiele kilometrów stąd.

Niewiele więcej o nim wiedziała, właściwie nic. Miał prawdopodobnie dziewczynę albo i tuzin .. Może nawet mieszkał z kimś. Przecież wszyscy dziś tak robią. Czemu ją to obchodziło? On wyjedzie, ona zostanie. Dwa powody, żeby nie zajmować się jego dziewczynami i żeby nie planować zbyt wiele.

- Adam! - zawołała, chociaż wcale tego nie chciała. - Czy masz dziewczynę?

Cisza.

- Adamie?

Wrócił i postawił ostrożnie. swój kubek na stole.

- Spotykam się z kimś.

Wiedziała, bez konieczności zadawania dalszych pytań, że nie mieszkają razem. To nie było w stylu Adama. Miał zawsze wrodzone poczucie prawości. Wiedziała jeszcze coś, sama zaskoczona, że wciąż tak dużo o nim wie - wiedziała, że nie kochał tamtej, z którą "spotykał się", nawet jeśli powiedziałby teraz, że kocha. Poczowała ulgę i gniew w niej także zelżał. Ale Adam Reed jej nie interesował ani jego życie, ani dziewczyna. Więc dlaczego usłyszała własny głos?

- Jaki motocykl masz teraz?

- Harley, rocznik 1964.

- Stary?

- Kto chciałby mieć nowy? Na nowym można tylko jeździć. A ten sam rozebrałem na części i wyremontowałem. Może go używać policja. Zobacz, mam zdjęcie.

Przeszukiwał portfel, wykładając na stół stos kart kredytowych i płatniczych. Żadnej fotografii dziewczyny, zauważyła, kiedy brała od niego zdjęcie motocykla. Motor był piękny, czarny i lśniący chromem. Spozregła, że miał tylko jedno siodełko. Osoba, z którą Adam się spotykał, nie jeździła z nim. Oddała mu fotografię, W sadził wszystko z powrotem do portfela.

Skończyła kawę i powinna skończyć z Adamem. Już najwyższy czas uprzejmie się z nim pożegnać. Ale w ogrodzie było jej tak dobrze. Pokazało się słońce. Kwiaty kwitły, ptaki śpiewały, czuła się jak kiedyś, bezpieczna i szczęśliwa, jak gdyby wszystko na świecie układało się dobrze.

- Adam, co u twojego taty? Jak mu się powodzi?

- Ożenił się niedługo po tym, jak go namówiłem, żeby się też przeprowadził na wschód.

- Naprawdę? To cudowne.

Z sympatią wspominała wysokiego, przystojnego mężczyznę, który był ojcem Adama. Syn bardzo go przypominał wyglądem i budową. Ale ojciec miał naturę spokojną, nawet nieśmiałą.

- Pamiętam, że twój tata wyglądał na przygnębionego - powiedziała łagodnie.

- Kochał mamę. Nigdy nie przestał za nią tęsknić. Czasami samotne wychowywanie dziecka wydawało mu się zbyt ciężkim zadaniem. Zwłaszcza takiego dzikusa.

- Nigdy nie mówiłeś o swojej mamie. To znaczy powiedziałeś, że umarła, ale nic więcej.

- Myślę, że ja też nigdy nie przestałem za nią tęsknić. Spojrzała na niego ze zdumieniem. Dotąd nawet nie przypuszczała, żeby smutek leżał w naturze Adama. Może brał się stamtąd, skąd pochodziła jego dzikość? Ze wzrastającym zdumieniem uświadomiła sobie, że nie wiedziała o Adamie wielu rzeczy.

- To twój tata jest szczęśliwy? Pewnie już teraz poszedł na emeryturę.

- Ożenił się z Hanną Oldsmith - roześmiał się Adam. Wzruszyła ramionami. To nazwisko nic jej nie mówiło.

- Stara, bogata rodzimi. Jedna z naj bogatszych kobiet w Ontario, a możliwe, że i w Kanadzie. Jakoś ten obraz ani trochę jej nie śmieszył, ponieważ ojciec Adama zawsze miał klasę. Mimo nieśmiałości i smaru białego w ręce zachowywał się z godnością.

- Przedstawiłeś go jej?

~ Nie. Pracował przy jej samochodach. Znasz mojego tatę. Jej pieniądze nie robiły na nim najmniejszego wrażenia. To było dla niej coś nowego i postanowiła zapolować na niego. Nie rozumiem, dlaczego się wahał, uciekając od własnego szczęścia. W zeszłym tygodniu dostałem od nich pocztówkę. Odremontowanym packardem zwiedzają Amerykę ...

- Zawsze lubiłam twojego tatę. Był taki miły i skromny. Cieszę się, że jest szczęśliwy.

- Ja też. Popatrz, czy nie powinniśmy już wyjść?

- Wyjść? - spytała podejrzliwie. - Wyjść dokąd?

- Na przejażdżkę.

- Motocyklem?

- Była zaskoczona.

- Na rowerze. Albo raczej na czymś zbliżonym, co mogłem wyszukać, biorąc pod uwagę stan twojego kolana.

- Adam, dzieciśnialeś czy co? Zdaje się, że naprawdę chcesz robić te dziwne rzeczy. Łyżworolki, rower ...

- Puszczanie latawca - zaproponował, wchodząc jej w słowo.

- Wiesz przecież, że nie mogę.

- Gdybyś mogła, pojechałabyś?

Uśmiechnęła się. Proste pytanie. Gdyby mogła, to tak, przejechałaby się z nim na rowerze. I prawdopodobnie puszczałaby z nim latawca. I poleciałaby z nim na Księżyc.

- Gdybym mogła, pojechałabym.

Czuła, że to bezpieczna odpowiedź. Nie podobało jej się światelko, które nagle zamigotało w jego oczach. Czy nie wpadła w pułapkę?

- Victoria? Jesteś tu? - doszedł ich czyjś głos.

- To mama - powiedziała mu. - Na dworze z tyłu! - zawołała.

Matka wyszła przez tylne drzwi domu i stanęła jak wryta ujrzawszy Adama.

- Och - rzekła. - Bardzo przepraszam, nie zdawałam sobie sprawy ...

Zatrzymała się i wpatrywała w niego. Wargę jej zadrżała, a w oczach zabłyśły łzy. Zawsze kochała Adama jak własnego syna.

- Adam - powiedziała cicho, łamiącym się głosem. Uśmiechnęła się tak promiennie, że słońce by się tego nie powstydzilo. Tory pomyślała z oburzeniem, że ten uśmiech stanowił przebaczenie za te wszystkie lata, kiedy się nie pokazywał.

- Jaki z ciebie teraz mężczyzna ...

Podniósł się i poddał inspekcji, potem wziął jej matkę w ramiona, podniósł do góry i zawirował z nią dookoła. Śmiała się do utraty tchu jak mała dziewczynka.

- Czy ciągle robisz najlepsze czekoladowe ciasteczka w całym Calgary? - Odsunął ją od siebie i oglądał z radością.

- Tak mówią moje wnuki. Powiedz mi wszystko. Czy jesteś żonaty i masz dzieci? Co tu porabiasz, Jak długo zostaniesz ... - przerwała w pół zdania. - Och, nie mogę zostać. Jestem umówiona. Ale nic nie szkodzi. Odwołam to.

- Mamusiu - powiedziała błagalnie Tory.

Matka spojrzała na nią, a potem znowu na Adama i uśmiechnęła się.

- Oczywiście, że nie odwołam! Macie dużo do nadrobienia. Tory, zdjęta grozą, spojrzała na matkę. Nie dała jej żadnej wskazówki, że chcą zostać sami. To przesłuchanie powinno się skończyć!

- Adam, będziesz tu jeszcze jutro wieczorem?

Z obserwującej go kątem oka Tory opadło napięcie, kiedy powiedział, że będzie.

- Przyjdiesz do nas na kolację? Proszę. Ach, Frank będzie taki przejęty. Nie będzie ci przeszkadzało, jeśli zaprosimy także Mitchellów? Wiem, że będą w siódmym niebie, kiedy cię zobaczą.

No tak, rodzice Marka też się ucieszą. Tory widziała, że Adam się waha, a potem uśmiechnął się i powiedział, że będzie mu bardzo miło.

- Och, Tory, ty także przyjdiesz - rzuciła jej matka zdawkowo, jak gdyby po namyśle. - Naprawdę muszę już iść. Wpadłam tylko, żeby dać ci tę begonię. A przy okazji, co to za wehikuł parkuje przed domem?

- Jaki wehikuł? - spytała Tory.

- To należy do mnie - oznajmił Adam.

- Jaki wehikuł? - powtórzyła Tory.

- Skaleczyłaś się w kolano, kochanie? - Matka zauważyła woreczek z lodem.

- Tak. Jaki wehikuł?

- Jak to się stało? Trudno skaleczyć kolano, układając bukiety kwiatowe.

Sporunowała matkę spojrzeniem za to, że niezbyt subtelnie dała Adamowi do zrozumienia, że w życiu jej córki nic się nie dzieje. Matka doskonale wiedziała, że ona mogła spaść ze schodów jak każdy.

- Poszłam na łyżworolki.

- Na co?

- Łyżworolki.

- Łyżworolki - ucieszyła się matka. Rzuciła spojrzenie Adamowi. - Czy miałeś coś z tym wspólnego?

- No tak, miałem.

- Aha.

W jakiś sposób udało jej się włożyć w to wymijające słówko mnóstwo satysfakcji. Zerknęła na zegarek, wydała krótki i nieprzekonywający okrzyk przerażenia i opuściła ich, machając na pożegnanie.

- Nic jej nie obchodzi moje kolano. - Tory patrzyła za odchodzącą matką. - A co zaparkowałeś przed moim domem? Coś w rodzaju zdezelowanego roweru?

- Tak, ale nie takiego zwyczajnego. Model roweru przeznaczonego dla dwóch osób, dla jednej osoby ze zdrowymi nogami i dla drugiej z jedną nogą do niczego.

- Co ty knujesz?

- Tory - westchnął. - Nic więcej nie wiem. Po prostu przejeżdż się ze mną na tym przeklętym rowerze, dobrze?

- No, skoro tak miło stawiasz sprawę - zgodziła się i odkryła, że tego chce, i to bardzo.

Pomógł jej wstać. Zostawili łód w zlewozmywaku. Z ganku zobaczyła riksę i wybuchnęła śmiechem.

- Adam, straciłeś rozum?

- Wyjaśnienie równie dobre jak każde inne. Jaśnie pani, powóz zajechał.

- Dobrze, ale żadnego rżenia. Absolutnie żadnego. Jeśli będziesz rżał, rzucę się pod koła, przysięgam.

- Żadnego rżenia - obiecał uroczyście.

Pomógł jej dojść do rikszy. Mimochodem spojrzała na nowe żaluzje u sąsiada i zdecydowała, że nie są tak brzydkie, jak przedtem myślała. Sąsiad wyjrzał zza firanek. Pomachała mu energicznie i wspięła się na siedzenie rikszy.

W planie na dzień dzisiejszy w ogóle nie uwzględniła Adama. Teraz umożliwiła się i patrzyła, jak on wsiada na rower. Ile czasu upłynęło od ostatniego dnia, przeżytego bez żadnego planu? Kiedy stała się taką osobą, która odczuwała przymus kontrolowania każdej sekundy dnia? Nagle ogarnęło ją cudowne poczucie wolności.

- Chcesz usłyszeć klakson? - zawołał.

- Czemu nie?

Brzmiał jak ryk osła. Zastanawiała się, czy można umrzeć ze śmiechu. Miała nadzieję, że tak.

Adam odkrył od razu, że prowadzenie tego wehikułu wymaga ciężkiej pracy. Wyjeżdżając na jezdnię, wciąż myślał, jaka jej matka jest piękna. Wyglądała tak, jak z całą pewnością będzie wyglądała dojrzała Tory. Natomiast nigdy nie widział w matce Kathleen przyszłego wcielenia córki. Dlaczego?

Zdawało mu się, że riksza waży tyle, co słońiatko. Obejrzał się na Tory. Uśmiechała się i machała do dzieci, które z otwartymi ustami jechały po chodniku na trzykołowych rowerkach. - Ścigamy się - zawołał.

Podjęły wyzwanie, pedałując po chodniku obok niego. Wygrał o włos na końcu ulicy. Faktycznie riksza ważyła więcej niż mama słońica, a nie słońiatko.

- Naciśnij dla nich klakson - poprosiła.

Włączył ryk osła, a dzieci zawyły z radości. Odwrócił się do Tory. Wyglądała na równie uradowaną, jej twarz promieniała.

Wydostał się z jej przecznicy na Memorial Drive, rozglądając się, jak by tu wjechać na ścieżkę rowerową. Za nim zatrąbił klakson. W odpowiedzi naciśnął swój. Kierowca pogroził im pięścią, Tory mu pomachała.

Adam nie był pewien, czy może przejechać riksą przez trawnik, żeby dostać się do ścieżki, nawet jeśli uda mu się przeciąć wszystkie cztery pasma ruchu i bulwar. Zdecydował się zablokować jedno

pasma ruchu, biegnące w kierunku zachodnim. Uodpornił się na trąbienie klaksonów. Cieszył się, że droga jest stosunkowo płaska. Wzgórze by go wykończyło.

Sportowy samochód zwolnił i kilku nastoletnich chłopaków zaczęło flirtować z Tory, co zakorkowało ruch za nimi. Czy ona nie wiedziała, że jest dla nich za stara? Czy oni tego nie wiedzieli? Ale jej twarz nie miała teraz żadnego wieku. Tory wyglądała jak dobry duszek, z rozwianymi lokami, z piegowatym noskiem, jej cudowne roześmiane oczy błyszczały życiem. To właśnie sprawiało, że podobała się chłopcom w szkole, czego i zdawała się nie zauważać, zadowolając się towarzystwem Marka i Adama.

Słoń to nic. Czuł się, jakby ciągnął odrzutowiec Boeing 747.

- Ruszajcie - wrzasnął do chłopaków.

. Jeśli nazwą go dziadkiem, nie odpowiada za to, co stanie się potem.

Roześmieli się i wykrzykali jeszcze kilka niewinnych uwag pod adresem Tory, które go jednak rozwścieczyły. Potem odjechali, a za nimi ruszył cały strumień samochodów.

Tory uśmiechała się i machała do żółtego szkolnego autobusu pełnego wrzeszczących dzieci.

- Pomachaj, Adam - zawołała.

- Nie mogę - wysapał.

Jak się w to wrobił? Niewiarygodne. Człowiek jego pokroju ciągnący riksze i to nie jakąś zwyczajną, ale najcięższą riksze na świecie.

Przejechał mniej więcej trzy przecznice. Czy Mark zastrzegł w liście, jak długo ma trwać przejażdżka rowerowa?

Znów obejrzał się na nią. Do diabła, warto było. Cieszyła się jak kiedyś. Jak po wygranym meczu baseballowym ich drużyny. Jak po celująco zdanym egzaminie. Jak po tym, kiedy trafiła kamieniem prosto między oczy niebezpiecznego psa, który rzucił się na nią i zmusił go, by uciekał skowycząc.

Niemal nad jego uchem zawyła syrena. Rzucił okiem na lewo i zobaczył jadący obok policyjny samochód z migającymi czerwonymi i niebieskimi światłami. W lusterku wstecznym, przytwierdzonym do prawej rączki, ujrzał, jak jego pasażerka zwija się ze śmiechu. Zatrzymał się, miał nadzieję, że to zajmie chwilę. Będzie mógł złapać oddech.

Z wozu wysiadł młody policjant. Adam w sądzie starłby go na proch, ale nagle zaczęło liczyć się tylko to, żeby Tory była szczęśliwa. Spróbuje postępować jak Mark. Spokojnie i grzecznie.

Nie powiedział więc nic w swojej obronie, kiedy policjant zarzucił mu, że blokuje ruch. Poza tym miał przecież urlop. Wyciągnął rękę po mandat, uśmiechając się przy tym szeroko. Funkcjonariusz spiorunował go wzrokiem i wrócił do rikszy, oceniając jej zdolność do poruszania się na drodze.

- Proszę pani, czy wynajęła pani tego człowieka? Czy narzucił swoje usługi?

- Świadczy usługi jako adwokat - rzekła z kamienną twarzą. - Sądzę, że powinien go pan natychmiast aresztować.

Policjant, jak się zdaje, przypuszczał, że oboje są współwinni. Teraz z kolei Adam się roześmiał.

Młody człowiek w mundurze popatrzył na niego uważnie. W jego spojrzeniu nie było już władczej groźby, ale początek powściąganego rozbawienia. Adam przypomniał sobie, że właśnie tak załatwiał sprawy Mark - przez rozbijanie przeciwnika, odwracanie nieprzyjemnego starcia o sto osiemdziesiąt stopni. Kiedyś drogą wyjścia z takiej sytuacji - i punktem honoru - byłoby dla Adama dać się aresztować. Sam nie wiedział, czy aż tak bardzo się zmienił. Poza tym uwielbiał rozbijać na proch takich chłopaków na krześle dla świadków.

- Robi pan romantyczne rzeczy dla swojej dziewczyny, czy coś w tym rodzaju? - spytał półgłosem.

- Rozśmieszam ją. - Zaskoczyło go, że się zwierza. - Bardzo dawno już się nie śmiała.

Policjant popatrzył na nią.

- Zdaje się, że osiągnął pan cel. Dlaczego nie śmiała się od dawna?

Adam zawahał się. Naprawdę nie musiał mówić mu niczego.

Jednak przypomniał sobie sposób działania Marka.

- Zmarł jej mąż.

- To straszne.

- Tak. Był dobrym człowiekiem. Najlepszym.

Coś ścisnęło Adama za gardło i odwrócił wzrok. Kiedy spojrzął znowu na młodego policjanta, tamten miał łagodniejszy wyraz twarzy i schował bloczek z mandatami.

- Dlaczego nie zabrał jej pan po prostu na szlak rowerowy po drugiej stronie ulicy?

- Jechałem tam, ale nie mogłem przedostać się przez ruch uliczny i nie chciałem, żeby umarła ze śmiechu.

- Zatrzymam ruch dla pana. - Pokiwał głową.

- Och, dzięki.

- Jest pan adwokatem. Niech pan o tym pamięta, kiedy następnym razem będzie pan zamierzał zetrzeć na proch takiego krawężnika jak ja, dobra?

- Ma pan to u mnie.

Dotarło do niego, że kiedy Tory była w pobliżu, miłość przenikała powietrze. Zawsze. Właśnie to łączyło Marka i Tory: cudowne zachowanie, które zmieniało na lepsze wszystko, czego się dotknęli. Czy on ostatnio zmienił coś na lepsze? Nie sądził, żeby liczyło się robienie milionera z młodego człowieka, od którego wypożyczył riksę.

Tory pozdrawiała ludzi jak królowa, kiedy przejeżdżali przez cztery pasma ruchu, które policjant zatrzymał dla nich. Popychał riksę z tyłu, tak że Adam mógł przedostać się przez trawnik i wzgórze na białą brukowaną alejkę.

- Proszę starać się nie zepchnąć nikogo do rzeki - poradził jeszcze, kiwnął głową na pożegnanie i popędził przez czteropasmową drogę do swego wozu.

Przejechali spokojnie dwa lub trzy kilometry. Rzeka szumiała, ptaki śpiewały. Mimo że riksza ważyła niemal tyle, co jego hotel, czuł się idiotycznie szczęśliwy.

Nagle przednia opona pękła i o mało nie spadli z nabrzeża do rzeki. Poddał się.

- Zostań tutaj - polecił Tory.

- Z przyjemnością.

Rozsiadła się wygodnie na siedzeniu rikszy i zadowolona patrzyła na płynącą rzekę i mijających ją biegaczy. Popatrzył na nią. Możliwe, że pomysł Marka zadziałał. Wydawała się o wiele szczęśliwsza niż wczoraj. Znowu zapaliło się w niej światło.

Pobiegł przez ulicę do kilku eleganckich butików i kupił pled oraz koszyk łakoci z delikatesów.

Rozłożył wszystko na trawie, obok zepsutej rikszy.

- Czy masz wędzone ostrygi? - spytała wyniosłym tonem.

- Oczywiście. I pasztet z wątróbek. Chociaż kawior nie wygląda świeżo.

- Nie zniosę tego, że kawior jest nieświeży.

Ułożyła się w jego ramionach tak swobodnie, jak gdyby była do nich stworzona. Zaniósł ją na koc i posadził. Odkorkował gazowaną wodę i zaoferował jej pierwszy łyk. Wypiła trochę, dokładnie osuszyła usta i oddała mu butelkę. Zaczęła szperać w koszyku.

- Ach, rzeczywiście przyniosłeś wędzone ostrygi!

- Rzeczywiście. - Wypił butelkę wody i wyciągnął następną. - Och, to była ciężka praca.

- Sflaczałeś.

- Wiem o tym.

Pomyślała, że jednak nie wygląda na sflaczałego.

- Wciąż jesteś szalony.

- O tym też wiem.

Zebrało się jej na płacz i odwróciła wzrok. Brakowało mi ciebie, pomyślała. Jednak nie powiedziała tego głośno.

Przysunął się do niej bliżej, ich ramiona się dotknęły.

- Nie zepsuj wszystkiego smutnym wyglądem.

- Chciałabym tylko, żeby Mark był tu z nami.

- Może jest.

## ROZDZIAŁ PIĄTY

Adam leżał na kocu. Słońce świeciło mu prosto w twarz.

Czuł się objedzony i chciało mu się spać. Rzeka płynęła obok, ptaki śpiewały, liście na drzewach,

lśniące i młode, były tak intensywnie zielone, jak chyba nigdy przedtem. Czerwiec miał swój zapach - świeży, niespotykany, pełen obietnic. Adamowi przyszło na myśl, że od lat nie miał urlopu i nie czuł się tak odprężony.

Tory leżała obok, nie dotykając go. Zastanawianie się nad tym, czy przesunąć się mniej więcej o centymetr, nie pozwalało mu zasnąć. Gdyby przypadkowo zmienił pozycję, dotknąłby jej ramieniem. Pomyślał, że bardzo zależy mu na tym zetknięciu i że wolałby dotknąć jej ramienia niż z inną kobietą posunąć się dalej. Nie wyłączała Kathleen.

Tory jakby mimochodem zniszczyła jego życie. Wątpił, żeby myślała, stojąc rano pod prysznicem i myjąc włosy pachnącym cytryną szamponem: "To doprowadzi go do szaleństwa. Wróci do Toronto i zerwie z osobą, z którą się spotyka".

- Zmieniłeś się jakoś - zauważyła.

- Ubieram się lepiej? - Przysunął się bliżej.

Odsunęła się i stracił zdobyte pół centymetra.

- Naprawdę? - droczyła się z nim. - Zawsze nosiłeś džinsy i koszulki.

- Te džinsy kosztują tyle, że powinnaś zauważyć firmową naszywkę.

- Dobra, dobra, zauważyłam. Nie mówiłam o rzeczach materialnych - wyjaśniła poważnie.

- Więc jak się zmieniłem?

- Rozmawiałeś z tym policjantem. Kiedyś robiłbyś sobie z niego dowcipy, póki nie wściekłby się i nie zaczął rzucać ... - I nie poddałbym się, dopóki by mnie nie zakuł w kajdanki - zgodził się sucho.

- Więc dorosłeś.

W ciągu ostatniej pół godziny, pomyślał.

- Czyż wszyscy nie wydorosleliśmy? - zapytał.

- A pamiętasz, jak zatrzymali nas na drodze po tamtej szkolnej potańcówce? Wyprowadzili cię z równowagi, powiedzmy dlatego, że byłeś młody, a oni nie mieli prawa nas zatrzymywać.

- Tamta noc zdecydowała o mojej przyszłości. Ciągłe mnie zatrzymują, kiedy jadę harleyem. I nie mają do tego prawa. Nienawidzę tego. Praworządni obywatele molestowani dlatego, że wybrali jazdę na motocyklu.

- Przekroczenie szybkości? - sondowała go.

- Ach, to - skrzywił się.

- Zawsze miałeś wysoko rozwinięte poczucie sprawiedliwości. Nie powinnam być zdziwiona, że zostałeś prawnikiem.

- Zdziwiłaś się?

- Tak.

- A spodziewałaś się, że kim zostanę? Handlarzem narkotyków?

- Adam! Nie wygaduj takich strasznych rzeczy. Natomiast nie widziałam, żebyś pił piwo.

- Gangsterem?

- Adamie!

- Po prostu zastanawiałem się, czy nie spodziewałaś się po mnie czegoś haniebnego.

- Ani trochę.

- Więc czego? - nalegał, pragnął jednak, by nie liczyło się to dla niego, ale znaczyło wiele.

- Spodziewałam się, że będziesz wiódł życie pełne przygód - odparła gniewnie. - Byłeś szalonym chłopakiem, zupełnie nieposkromionym.

- Daj mi jakąś wskazówkę. Próbuję wymyślić szacowne zajęcie dla nieposkromionych ludzi.

- Astronauta.

- Nie lubię latać!

- Kowboj.

- Nie mam żyłki do koni.

- Przedsiębiorca. - Jej wzrok go uciszył. - Przewodnik na safari. Szpieg. Strażak.

Wyglądało na to, że już to rozważała. Uświadomił sobie, że ona uważa go za postać dość romantyczną. Sprawilo mu to nawet przyjemność, dopóki nie przypomniał sobie, że ją rozczarował.

- Nie byłem takim znowu szaleńcem.

- Adamie, bardzo rzadko bywałeś na zajęciach w maturalnej klasie.

- To nie dlatego, że byłem szalony, ale znudzony.

Jednak zdał egzaminy. Wagary niezbyt wówczas przypominały wielką przygodę - granie w biiard u Grady' ego, praca nad motorem. Kiedy wreszcie udało mu się go uruchomić, rzeczywiście gdzieś jechał. Może to wydawało się szalone i ryzykowne takiej prymusce jak ona.

- Byłeś szalony - orzekła stanowczo.

- Dlaczego? - zaprotestował.

- Zjechałeś po stoku Glenmore Dam w rurze.

- Bardzo głupie, ale niekoniecznie szalone.

- Przeskoczyłeś na motorze nad urwiskiem, gdzie kiedyś była stacja radiowa.

- To właściwie nie było urwisko. Poza tym złamałem rękę, musieli też mnie zszywać.

- Ciągłe masz bliznę.

- Naprawdę? - Dotknął podbródka.

- A tydzień później przeskoczyłeś na motorze to samo urwisko z ręką w gipsie!

- Zapomniałem o tym.

Teraz sobie przypomniał. To nie było urwisko, duże, wypiętrzone wysypisko śmieci, na dole z jednej strony z kupą piasku, który wydawał się bardziej miękki niż był w rzeczywistości. Jednak twarde lądowanie nie przeszkodziło mu, by skoczyć znowu, z ręką bez temblaka, ale w gipsie. Musiał to być dzień bardzo podobny do dzisiejszego, ponieważ bardzo wyraziście zapamiętał uczucie wolności, kiedy zbliżał się do krawędzi i ten cudowny moment w powietrzu, kiedy motor oderwał się od ziemi i wzleciał do nieba. Westchnął rozanielony.

- Tak przypuszczałam - powiedziała. - To dla ciebie szczęśliwe wspomnienie.

Nie mógł zaprzeczyć. Zdawało mu się jednak, że pamięta ogień, który zapalał się w jej oczach, zachęcając go do coraz śmielszych wyczynów.

- Tobie też się to podobało.

- Nie! Bałam się śmiertelnie twojej brawury i ryzykanctwa.

Wiedział, że to nie była cała prawda. I ona o tym też wiedziała, bo delikatny rumieniec wypłynął na jej policzki.

- Byłaś oczarowana. - Czekał na jej zaprzeczenie, ale nie nastąpiło.

- Palileś. - Zmieniła temat.

- Wydawało mi się, że to fajne .. Nie szalone - fajne.

- Każdego roku pierwszy włąziłeś do rzeki i ostatni wychodziłeś. Byłeś pierwszy, którego aresztowano i jedyny zresztą. - To właściwie nie była moja wina. Naprawdę nie wiedziałem, że Murphy ukradł ten samochód.

- Mnie nie pozwalano nawet chodzić po tej samej stronie ulicy, co Murphy.

- Więc ci się udało. Dobra dziewczynka i zły chłopiec. Stara historia.

- Przyznajesz, że byłeś szalony?

- Może wydawałem się szalony takiej dziewczynie jak ty.

- Teraz mówisz jak prawnik. - Roześmiała się.

- Którym jestem. W żadnym razie już nie jestem szalonym chłopcem. Wydajesz się rozczarowana.

- Nie jestem rozczarowana - powiedziała szybko. - Adam, ja tylko zawsze myślałam, że kiedy dorośniesz, będziesz inny niż ludzie, których znam - nie skrepowany konwencjami i nie-przewidywalny.

- Chyba ja też tak myślałam - wyznał.

Zastanawiał się, jak wielką rolę konwencja odgrywała w jej decyzji wyboru mężczyzny.

- Więc co się stało? - Zadała to pytanie takim tonem, jak gdyby Adam ją zawiódł.

- Dojrzałem - odrzekł. - Wydoroślałem. Zacząłem liczyć się z faktami.

- Jakimi faktami? - zaciekawiała się.

Takimi, że ktoś inny dostał dziewczynę, pomyślał.

- Że nie mam dość pieniędzy, żeby przejechać na harleyu dookoła świata.

- To nie cała twoja wiedza o pieniądzach.

- Łatwo ci powiedzieć. Zawsze je miałaś.

- Dobra, wydaje się, że teraz je masz. Czy znaczą dla ciebie tyle, co kiedyś marzenie o podróży

dookoła świata na motocyklu?

Na szczęście nie musiał odpowiadać. Spojrzał do góry, osłaniając twarz przed słońcem. Przed nimi stała piękna i smukła blondynka.

- Adam? - Uśmiechnęła się.

Miał nadzieję, że ten piegowaty potwór obok niego zauważył, jaki promienny był to uśmiech.

- Shauna?

- Pierwszy rok prawa. - Sprawilo jej przyjemność, że ją pamiętał. - Jak się masz? Wciąż w Toronto?

- Tak. Wróciłem tylko na małe wakacje.

- A to musi być twoja żona.

- Nie. To moja przyjaciółka, Victoria Bradbury.

Tory zeszywniała i spojrzała na niego, zanim uklękła i podała rękę Shaunie.

- Victoria Mitchell - przedstawiła się, rzucając mu wymowne spojrzenie.

Oczywiście wiedział, że poślubiła Marka. Ale czy jego serce kiedykolwiek to zaakceptowało? Ani razu nie pomyślał, że ona nosi teraz nazwisko Mitchell.

- Przepraszam - mruknął.

Shauna gawędziła przez kilka minut, ale on jej właściwie nie słuchał, zdając sobie sprawę, że irytuje Tory i że piknik się skończył.

- Jak mogłeś? - spytała go Tory łagodnym głosem, kiedy

Shauna już poszła.

- Po prostu zapomniałem. Przepraszam.

- To tak jakby on dla ciebie nigdy nie istniał, prawda?

- To nie fair.

- Byłam żoną Marka przez sześć lat. Nie możesz udawać, że nic się nie zdarzyło. Dlaczego chcesz udawać?

- Powiedziałem przepraszam. W porządku?

- Nie, nie w porządku - rozgniewała się. - Nic nie jest w porządku. Ten piknik i to. - Wskazała riksę. - Wczorajsze łyżworolki też nie były w porządku. Zdradziłeś Marka. Jak mogłabym o tym zapomnieć? Przejść nad tym do porządku dziennego?

Zeskoczyła z koca. Dygotała jak w ataku szaleństwa. Przypomniało mu się, jak kiedyś powiedział, że kierowanie szkolną akcją zbierania funduszy na cele dobroczynne, to strata czasu, a świat nie zmieni się od tego, że szkoła średnia zaadoptuje jedno głodujące dziecko.

- Ale może my się zmienimy! - krzyczała do niego na środku korytarza, rojącego się od uczniów.

Teraz w jej oczach płonęło podobne szaleństwo. Piegi wystąpiły jej na twarz. Odwróciła się i zaczęła iść kulejąc.

- To znaczy, że jutro nie będziemy puszczali latawca? - zawołał za nią, własną furię maskując niedbałym tonem.

Rzuciła mu piorunujące spojrzenie przez ramię i szła dalej. Niech ją licho porwie, nie obchodzi go, czy będzie tak kuleć całą drogę do domu. On dla niej został prawnikiem, a ona wolałaby, żeby podróżował na motocyklu dookoła świata. I pewnie powiedziałyby, że nie jedzie dość szybko. A więc według niej wcale nie wspiął się na szczyty kariery. I nie była usatysfakcjonowana. Teraz on może wracać do Toronto. Zrobił, co mógł. Wywołał jeszcze większy zamęt, ale się starał. Nie był Markiem. Nie miał jego dyplomatycznych talentów, zręczności w naprawianiu skomplikowanych spraw. Tej nocy, kiedy po szkolnej zabawie zatrzymała ich policja, Adam odszczeniwał się tak fatalnie, że o mało go nie aresztowano. Mark wszystko załagodził, odpowiednim słówkiem i przyjaznym uśmiechem, pozostając po prostu sobą. Ale Marka już nie ma.

Adam położył się na wznak, z rękami pod głową, i przymknął powieki. Jeśli ona się obejrzy, zobaczy beztroski obraz.

Otworzył oczy, kiedy mokra kropla spadła mu na twarz.

- Nie mam na taksówkę - przyznała z godnością. - I nie mogę iść.

Pląkała, stojąc nad nim, ale byłaby jeszcze bardziej wściekła, gdyby to zauważył albo udał, że tego nie widzi. Nie podnosząc się, wyjął portfel i dał jej dziesięć dolarów.

- Mark mi wybaczył.

Zdumiał się, słysząc swój głos. Miał zamiar pozwolić jej odejść, a nie rozmawiać z nią. A sam zamierzał najbliższym samolotem odlecieć do Toronto.

- Mark ci wybaczył? - wyszeptala. - Jak mógł ci wybaczyć? Przecież ty nawet nigdy ...

Wsunął dłoń do kieszeni i dał jej zmiętoszony list. Wzięła go niepewnie, rozłożyła i przeczytała. Potem rzuciła kartkę na niego.

- To dlatego wróciłeś?

Skinął głową, ale już wiedział, że popełnił błąd, pokazując jej list.

- Bo było ci mnie żal?

- Bo mnie o to poprosił!

- Wcale nie dlatego, że cię naprawdę obchodzę! Bo cię o to poprosił!

- Tory. - Powoli się uniósł.

- Sam nie możesz zachować się przyzwoicie? Lepiej, że cię nie kochałam! Nie kochałam!!!

Przechodząca starsza pani z pudłem popatrzyła na nich, zdegustowana odwróciła głowę i przyspieszyła kroku.

Tory rzuciła mu piorunujące spojrzenie, odwróciła się i odeszła kuśtykając. Prawie od razu zatrzymała przejeżdżającą taksówkę. Patrzył, jak wsiada z podniesioną dumnie głową.

- Stary - powiedział do Marka. - Naprawdę zepsuliśmy tę sprawę. - No dobrze, ja to zepsułem.

Już taki miała temperament. Porywcza, szybko się zapalała.

Za kilka godzin prawdopodobnie poczuje skruczę. To najlepszy moment, żeby spytać ją o latawca.

Albo jutro wieczorem, na kolacji u jej matki, na którą przyjdą także Mitchellowie. Zastanawiał się, czy oni także są na niego wściekli. Jeśli tak, będzie miał poczucie, że rozczarował. Marka.

Trzeba spojrzeć w twarz rzeczywistości. On i Tory nigdy nie będą puszczać latawca.

Chciał wrócić do Toronto, gdzie prowadził miłe, niezależne i nudne życie. Ale wiedział, że tego nie zrobi. Kiedy wylądował w Calgary, uświadomił sobie, że szlachetniejszej części jego osobowości grozi zanik. Ten człowiek, którym się stał, chciałby tylko rzucić okiem na ten cały zamęt, odciąć się od niego i uciec. Teraz, zaledwie trzy dni później, wiedział, że nie może wyjechać, nie spotkawszy się z Mitchellami.

Kiedy dorastał, traktowali go bardzo dobrze. Jeśli dotknął ich tak mocno, jak Tory, chciał ich przeprosić. Miał dziwne uczucie, że to, co było w Marku najlepsze - jego uprzejmość, współczucie, odwaga - żyje nadal. W jakimś głęboko ukrytym miejscu jego duszy odezwały się najlepsze cechy Marka. Dawny Adam wrzuciłby riksę prosto do rzeki, razem z kocem i pozostałościami pikniku, powiedział sobie. Zamiast tego złożył pled, razem z resztkami ulokował nasiedzeniu rikszy i potem popychał ją przez długą drogę.

Kiedy dotarł na wyspę, chłopak właśnie zamykał swoją budkę.

- O, człowieku, co ty z tym zrobiłeś?

- To tylko opona.

Chłopak ukląkł, żeby przyjrzeć się oponie.

- Nie powinieneś być w szkole?

- Jasne. Szkoła to nuda.

\_ Tak ... Było się tam. Pomogę ci zawieźć riksę do najbliższej stacji obsługi.

\_ To milion kilometrów stąd. Mogę naprawić to w domu.

- Dobra, pomogę ci zawieźć to do domu.

Chłopak ociągał się i Adam już wiedział, w jakim stanie jest ten dom.

- Jeśli pan chce ... - Wzruszył w końcu ramionami.

- Jak się nazywasz?

- Daniel. Danny.

- A ja nazywam się ...

\_ Dziadek. - Chłopak uśmiechnął się z wyraźną przyjemnością.

- No tak, dziadek. - Adam pokiwał głową.

Dom był jeszcze nędzniejszy, niż Adam przypuszczał. Ganek się walił. Spod desek wyszły wygłodzone koty. Dach prawdopodobnie przeciekał. Jedno okno było zabite deskami.

- Dzięki - powiedział dumnie chłopak. - Stąd już sam zabiorę riksę.

Adam zawahał się. Jeśli zapłaci za oponę przed tym walącym się domem, zrani dumę Danny'ego.

- Czy wiesz, gdzie mogę dostać wózek inwalidzki? - spytał.
  - Za pieniądze wszędzie. Po co panu wózek?
  - Chcę puszczać latawca z inwalidką.
  - Chce pan, żebym postarał się też o latawca?
  - Musisz mi obiecać, że niczego nie ukradniesz.
  - Za kogo pan mnie bierze? Musiałbym przewrócić kalekę, żeby ukraść wózek. Mam skrupuły, wie pan?
  - Widzę. - Adam był szczery.
  - Będę miał wszystko jutro w południe. Możemy się spotkać w mojej budce. Pięćdziesiąt dolców.
  - Myśl realnie. - Danny nie powinien sądzić, że Adam zidiociał na widok jego zrujnowanego domu.
  - Dobra, dwadzieścia pięć. - Odmowa nie sprawiła przykrości chłopakowi. - Ale niech pan nie spodziewa się za tę cenę dużego latawca.
  - Spotkamy się o piątej. Będziesz mógł pójść do szkoły.
  - Zrobię na tym wielkie pieniądze - zadrwił Danny.
  - Ile zarabiasz w swojej budce?
  - Procent od opłaty za wypożyczenie.
  - Musi być nieźle w weekendy.
  - Ale niespecjalnie w dni powszednie. To dlatego muszę dorabiać, jeżdżąc moją riksą po Electric Avenue. Kiedy zrobi się chłodniej, wrócę do szkoły, jeśli mnie jeszcze z niej nie wyrzucą.
  - Czy wiesz, ile możesz zarabiać, jeśli zostaniesz w szkole? Chłopak starał się wyglądać na niezainteresowanego.
- Adam pochylił się i wyszeptał sumę wprost do jego ucha.
- Na dzień? - zdumiał się Danny.
  - Na godzinę - odrzekł Adam.

Tory dojechała do domu i dała taksówkarzowi całe dziesięć dolarów, chociaż na liczniku było tylko trzy. Adam nie zawiózł jej daleko. Mógł to być jeszcze jeden zarzut przeciwko memu.

Nie potrafiła uwierzyć, że Mark napisał do niego ten list.

Czuła się urażona i zdradzona przez nich obojgu. Mark napisał, że wie, dlaczego Adam się usunął. I że ona bardziej -kochała Adama. To doprowadzało ją do szału.

Przez sześć lat ich małżeństwa nie kłócili się ani razu. Nie kłócili się nigdy, odkąd się znali.

Zupełnie różnił się od Adama, z którym ciągle skakali sobie do oczu, bo był taki irytujący.

Jak Mark mógł?

Poszła po woreczek z lodem. Rozpuścił się w zlewie i musiała zadowolić się mrożonym groszkiem z zamrażalnika.

Adam sprawił, że się śmiała. Ale ją zranił! Dobra, trochę się pośmiała. Nic wielkiego. Życie to nie tylko śmiech. Wyszła za męża za Marka, ponieważ go kochała. Od chwili, kiedy powiedziała "tak" Markowi, a "nie" Adamowi, wszystko na zawsze się zmieniło. Nie chciała udawać, jak Adam, że nigdy nie było Marka. To było straszne. Miała do siebie pretensję, że się poddała, że poszła na łyżworolki i pojechała tą riksą. Nawet, jeśli był to głupi pomysł Marka, nie Adama. To nawet pogarszało sprawę, zwiększało jej zakłopotanie.

Pokuśtykała do sypialni i otworzyła szeroko drzwi szafy.

Zamierzała ubrać się w coś oszałamiającego na jutrzejszą kolację u rodziców. Niech Adam zobaczy, że nie jest kobietą, nad którą trzeba się litować. Pożałuje jeszcze, że przywiodła go tu z powrotem litość, a nie namiętność.

Przyszło jej na myśl, że biorąc pod uwagę dzisiejsze wypadki, mogłaby nie iść jutro na tę kolację do rodziców. I pomyślała też, że nic, ale to nic, jej od tego nie powstrzyma.

Państwo Bradbury mieszkali tam, gdzie zawsze, obok Mitchellów. Adam zamknął drzwiczki wynajętego samochodu, w którego bagażniku leżał złożony wózek inwalidzki. Przystanął w zapadającej ciemności i patrzył na domy ze swojego dzieciństwa.

Jego stary dom miał teraz odnowioną fasadę, nowe okna, nowy dach, ładnie urządzonego ogród. Ale Adamowi zdawało się, że jeśli podejdzie i zajrzy przez płot, zobaczy tam motocykl. I chłopca, który zwykle siedział nad motocyklem, chłopca, który zazdrościł stabilizacji rodzinom z jednej i z drugiej strony. Czy mógł wtedy wiedzieć, że oni będą trwać w tym miejscu, a on wyjedzie?

Tory nazywała szaleństwem dręczący go niepokój. Jednak u iródeł tego niepokoju było poszukiwanie. I tylko spojrzawszy wstecz, wiedział, że tu, na tej ulicy, zbliżył się najbardziej do tego, czego szukał. Teraz wiedział, oczywiście, że chłopiec, który stracił matkę, szukał miłości. I sądził, że ją znalazł, nie tylko w Tory, także w Marku i w ich rodzinach, dopóki ona go nie odrzuciła. Nie chciała go poślubić, nie chciała pojechać z nim w podróż dookoła świata na harleyu. Jak mógł w ogóle pytać ją o to, wiedząc, że należy do gatunku ludzi osiadłych?

Zmusił się, żeby podejść wąskim chodnikiem do jasno oświetlonego domu. Niósł butelkę dobrego wina, chociaż nigdy nie pił. Zdawał sobie sprawę, że trochę się boi.

Zadzwoił i otworzyła mu jej matka. Kiedy wszedł, rozproszyły się jego obawy. To ciągle był dom Tory, nawet jeśli tu już nie mieszkała. Pachniał cudownie - sosnowym aromatem odświeżacza, politurą i dobrym jedzeniem. Pani Bradbury wzięła od niego wino, zjawił się jej mąż, ścisnął jego rękę i mówił, jak miło go widzieć.

W salonie zobaczył Mitchellów siedzących na kanapie. Chował się za panem Bradbury, ale oni wyszli mu naprzeciw. Matka Marka bardzo się postarzała, ojciec przygarbił się. Szukał w ich oczach wyrzutu, ale go nie zobaczył, powitali go i byli szczęśliwi, jak gdyby był ich ukochanym synem, którego bardzo długo nie widzieli. Uściskali się serdecznie.

- Tak mi przykro z powodu Marka - powiedział. - Bardzo mi przykro.

- Dziękuję - rzekła spokojnie pani Mitchell. - Wiemy, że ci przykro.

- Przepraszam, że wtedy nie przyjechałem.

- Jesteś tu teraz.

Najwyraźniej wiązali z nim jakieś nadzieje. Jego obecność miała coś naprawić. I wiedział co, jeszcze zanim rozległo się delikatne pukanie. Wszyscy kochali Tory i wszyscy myśleli ...

Odwrócił się i zobaczył ją w drzwiach. Oczy o mało nie wyszły mu z orbit.

Miała na sobie krótką czarną sukienkę na ramiączkach, szeleszczącą wokół bioder. Ciemne rajstopy ukrywały jej spuchnięte kołnierzki. Upięła włosy i zrobiła makijaż. Wyglądała olśniewająco i dojrzałe. Przypuszczał, że on też wygląda dojrzałe, w drogim garniturze i koszuli z jedwabnym krawatem.

Spodziewał się, że ona nie przyjdzie. Nie wiedział, co ma oznaczać to, że się zjawiała, w dodatku tak się prezentując. Wiedział tylko, że wszystko wokół zbladło i że zaschło mu w gardle. I wiedział, że niezależnie od tego, co się dzisiaj stanie i co się wydarzy jeszcze podczas jego pobytu w Calgary, on nie zamierza już ożenić się z Kathleen.

## ROZDZIAŁ SZÓSTY

Tory spojrzała z wściekłością na wino, które przyniósł Adam. Łatwo jej przyszło skupić całą swoją niechęć na tej butelce luksusowego trunku. Uczynił bardzo stosowny wybór. Umiarkowanie drogie, smaczne. Nic nadzwyczajnego.

Popatrzyła na niego nad stołem. Był teraz taki na miejscu.

Zachowywał się swobodnie i uprzejmie, ubrany w garnitur, który doskonale pasował do wina.

Drogi, gustowny, nieciekawo.

Oderwał na chwilę wzrok od Agnes Mitchell, uchwycił spojrzenie Tory i uśmiechnął się. W tym spojrzeniu czaił się chłopiec, który nigdy nie musiał dodawać sobie odwagi butelką i który skakał na motorze z urwiska z jedną ręką w gipsie. Powiedział, że patrzyła na ten wyczyn oczarowana, mówił prawdę. Urzekały ją jego szaleńcze wybryki. Czasami bała się tak, że zapierało jej dech, ale chyba najbardziej kochała w nim tę śmiałość, brawurę, z jaką stawiał czoło życiu.

A teraz przyszedł z drogim starym winem, w nudnym porządnym garniturze, granatowym w delikatne szare prążki. Olśniewająca biel koszuli podkreślała jego opaloną cerę, oczy wydawały się jeszcze ciemniejsze. Jak niegdyś ona, teraz wszyscy byli nim oczarowani. Zerknęła na jego jedwabny krawat. Na pierwszy rzut oka wydawał się konserwatywny, ale kiedy przyjrzała mu się

bliżej, zobaczyła wzór w motocykle.

Opowiadał o swoim pierwszym spotkaniu z sędzią. Agnes Mitchell śmiała się tak, że łzy spływały jej po policzkach. Tory jej nawet pozazdrościła. Od dawna nikt z tego towarzystwa tak się nie śmiał. Żyli się ze sobą na długo przed tym strasznym dniem, kiedy stali w deszczu i po kolei brali grudkę ziemi, żeby przysypać nią Marka. Dzisiaj znowu zeszli się razem, ale śmiali się, dzięki Adamowi, temu jednemu, który wtedy się nie zjawił.

Czy liczyło się to, że teraz zmniejszył ich ból? Musiała niechętnie przyznać, że tak.

Jej ojciec odchrząknął i podniósł szklaneczkę wina.

- Chciałbym zaproponować toast.

Popatrzył na nią, a potem przeniósł wzrok na Adama, z oczywistą intencją. Przestraszyła się.

Wiedziała, że chcą ich wyswatać. Rodzice Marka i jej rodzice musieli ujrzeć w nim dar niebios. W oczach ojca dostrzegła nadzieję, że pójdą razem do ołtarza. Gotów jest powiedzieć coś o długim i szczęśliwym życiu obojga, a ona nie przeżyje takiego zakłopotania ...

Jednak nie wspomniał ani o niej, ani o Adamie.

- Chciałbym wnieść toast za człowieka, którego nie ma dziś przy naszym stole, ale który zawsze jest w naszych sercach.

Wszyscy podnieśli szklaneczki - ona i Adam tylko z wodą.

- Za Marka - powiedział jej ojciec.

Wydawało się nagle, że Mark jest z nimi. Tory niemal namacalnie czuła jego obecność, ciepło, miłość. Spojrzała nad stołem na Adama. Jej pretensje rozwiały się. Zobaczyła to, co wszyscy widzieli - że był wyjątkowym człowiekiem. Dobrze, że tu wrócił. Słyszała tylko głos Adama, powtarzającego: "za Marka".

- Tory - roześmiał się. - Czy pamiętasz, jak wznosiliśmy ochrzczone wodą toast w naszym domku na drzewie? Uderzyłaś tak mocno w szklaneczkę Marka, że pękła.

- To nie ja, tylko ty.

- Naprawdę? Teraz już umiem wznosić toasty. W każdym razie Mark skaleczył się i doszliśmy do wniosku, że nadarza się wspaniała okazja, by zawrzeć braterstwo krwi.

- A potem przyszlście do mnie, krwawiąc jak zarzynani - przypomniała sobie z czułością jej matka. Tory patrzyła i słuchała, jak wspominają Marka. Od dawna wszyscy tego potrzebowali. Pomyślała, że przywrócił go im Adam. Czy zdołałby to zrobić, gdyby był z nimi przez cały czas?

- Adam, kiedy wracasz do Toronto? - zagadnął go Sam Mitchell, kiedy przestali rozmawiać o Marku.

- Jutro rano, pierwszym samolotem. - Spojrzał na nią. Zamarła z uniesionym widelcem w połowie drogi do ust.

Jego mina mówiła, że wróciłby dziś wieczorem, gdyby zdołał złapać samolot.

- Przykro mi to słyszeć - powiedział Sam. - Myślałem, że wybierzemy się na ryby w nasze ulubione miejsce.

Już zapomniała, że mimo swojej skłonności do szalonych przerygód, Adam, w przeciwieństwie do niej i Marka, zawsze chętnie spędzał dzień na spokojnym wędkowaniu z ich ojcami. - Myślałam - odezwała się i nie mogła uwierzyć, że słyszy swój głos - że jutro pójdziemy puszczać latawca.

Zdziwiło ją własne zachowanie, ale miała też trochę satysfakcji, że chociaż raz go zaszokowała.

Otworzył usta i gapił się na nią. Wytrzymała to spojrzenie. To była ostatnia prośba Marka. Czy Adam chociaż spróbuje podjąć grę? Rodzice i Mitchellowie dziwnie na nią patrzyli.

- Puszczać latawca, kochanie? - zaczęła z wahaniem matka. - Z pewnością Adam nie chce ...

- Puszczenie latawca to jest to. - Przepił do niej szklanką wody i oczy niebezpiecznie mu zabłyśły. - W Toronto nie mam nic aż tak pilnego, co mogłoby mnie pozbawić przyjemności puszczenia latawca.

Jego oczy mówiły to, czego nie powiedziały, usta. Poczwała dreszcz przebiegający jej po plecach.

- Co wam obojgu strzeliło do głowy? - spytała jej matka.

- Te nowomodne rolki, ten wehikuł wczoraj przed domem, puszczenie latawca ... Chcecie odzyskać dzieciństwo?

Nie mieli zamiaru odzyskiwać dzieciństwa, tylko zupełnie coś innego, o czym zawsze wiedział

Mark. Chciałaby cofnąć lekkomyślne słowa, które mogą powstrzymać Adama od wejścia jutro na pokład samolotu. Czuła, że głupio zapuściła się na niebezpieczny grunt, przysłowiowy cienki lód. Niemal głośno trzeszczał pod ciężarem jej obaw.

- Och, do licha. - Zdawała sobie sprawę, że jej głos brzmi słabo. - Moje kolano. Chyba jednak nie będę mogła pójść.

- Nie będziesz musiała biegać - zapewnił. - Z troszczyłem się o to.

Jego ton ostrzegł ją, żeby nie kłóciła się z nim w obecności rodziców i Mitchellów. Jak mógł się o cokolwiek zatroszczyć, jeśli zamierzał jutro wyjechać? Nie miała pojęcia, że wszystko obróci się tak szybko przeciwko niej. Przyszła tutaj, bo chciała sprawić, by Adam jęczał z tęsknoty za nią, a potem samotnie odejść - pokuśtykać - trzymając dumnie podniesioną głowę. Zamiast tego poprosiła go, by poszedł z nią puszczać latawca, czego nigdy nie robiła i nie miała najmniejszej ochoty robić, zwłaszcza z kontuzjowanym kolaniem. Można było niemal uwierzyć w boską interwencję.

Po kolacji Adam zaoferował swoją pomoc przy zmywaniu, ale oczywiście pani Bradbury nie chciała o tym słyszeć.

- Czy nie będzie wam przeszkadzało - powiedział tęsknie - że pójde obejrzeć domek na drzewie?

- Pewnie, że nie. Tory, dlaczego z nim nie pójdziesz? - zaproponowała matka.

- Właśnie, dlaczego nie? - uśmiechnął się do niej szeroko.

- Nie jestem odpowiednio ubrana. - Przyszła jej do głowy ponura myśl, że zawsze będzie dla niego dziewczyną wspinającą się po drzewach, nawet jeśli ma na sobie seksowną sukienkę za pięćset dolarów. Miała jednak ochotę obejrzeć z nim domek.

Przytrzymał jej drzwi i poszli na tyły domu. Noc była ciepła.

Ciężki zapach hiacyntów i kapryfolium unosił się w powietrzu. Wszystko oblewało srebrne światło księżyca. Przeszli przez dziedziniec i skierowali się do ogromnego klonu. Sznurową dra-o binke lekko poruszał nocny wiaterek, zapraszając ich pod baldachim liści.

- Nie idę pierwsza - uprzedziła go.

- Zawsze wchodziłaś pierwsza.

Mylnie wziął jej wahanie za lęk, więc zniecierpliwiona wskazała na sukienkę. Postąpił krok w jej stronę, a ona pochyliła się ku niemu. Pomyślała, że chce ją pocałować. Ale poprawił tylko delikatnie obsunięte ramiączko. Jego dłoń zatrzymała się chwilę na jej ramieniu. Potem cofnął się.

- Tory! Czy ja będę cię podglądać?

- Tak!

- Jeśli nadarzy się okazja. - Ciągłe się śmiał. - Dobrze, wejdę pierwszy.

Wspiął się po sznurowej drabince z wprawą marynarza na żaglowcu. Na podeście odwrócił się i wyciągnął do niej rękę. Chwyciła ją. Jej dłoń znalazła się w jego ręce.

Stanęli obok siebie wśród szumiących liści, przez które wpadało światło księżyca.

- Pamiętasz, Tory?

Pamiętała. Popatrzył na nią i znów miała wrażenie, że tylko sekundy dzielą ich od pocałunku.

Zamiast tego puścił jej dłoń i schylił się, żeby wejść do domku. Weszła za nim. Wnętrze bardzo się zmieniło. Rolę stołu pełniła przewrócona drewniana skrzynka. Na krzywej półce znajdowało się trochę książek i naczyń. Widać było, że na trzech wgniecionych krzesłach niedawno ktoś siedział.

Przejrzał książki. W deszczowe popołudnia siedzieli tutaj i czytali sobie na głos. Książki wybierali po kolei. Torturowała Marka i Adama "Małymi kobietkami" i romansami.

- Zaufajcie mi - mówiła. - Odkryjecie, czego naprawdę chcą kobiety.

~ Szejków? - rzucił oszczerczo Adam.

Ale słuchali obydwoj i bawili się lepiej niż to okazywali. Mark lubił humoreski, Adam - wszystko: "Zen i sztukę oporządzania motocykla", poezję, historię, poradniki. Z dwóch jej najlepszych przyjaciół Mark umarł, a Adam wyjechał. Kiedy w tym ich prywatnym azylu spędzali, jak w kokonie, szare popołudnia, któż mógł przypuszczać, że przyszłość tak się potoczy?

Nic nie powiedziała, ale on wyczytał to w jej twarzy. Podszedł blisko, ujął jej podbródek, spojrzał w oczy i mocno objął. Wiedziała, że nie powinna pozwolić na taką intymność, ale wszystko w niej tego pragnęło. Przytuliła się do niego. Czuła się bezpiecznie, jak gdyby świat mógł znów stać się bezpieczny, jeśli ona na to pozwoli. Ale nie powinna uzależniać poczucia bezpieczeństwa od

Adama. Nie mieszkał tu. Kiedy ona już przywyknie do jego obecności, on ją opuści. Nawet niezawodny Mark zostawił ją samą.

Wargi Adama dotknęły czoła Tory. Zamierzał ją pocałować i pocałował. Obsypał wygłodniałymi pocałunkami jej policzki, szyję, czubek głowy i koniuszek nosa, pieśczęty jego warg mówiły o samotności, pustych nocach i tysiącach dni, które minęły. W końcu oddała mu pocałunek, w który włożyła całą swoją nadzieję. A potem rozpaczliwie wyswobodziła się z objęć Adama. Nie chciała, by pocałunki przeszły w coś, co będzie trudno odwrócić.

- Nie żądaj, żebym przeprosił - odezwał się ponuro. - Nie przeproszę.

- Po prostu myślę, że to nie najlepszy pomysł.

- Faktycznie nie był zły - dwoje samotnych ludzi, inajdujących się w romantycznym otoczeniu, wymienia pocałunek. Wielkie rzeczy. Mamy po trzydzieści lat.

Nie wiedziała, co bardziej ją zirytowało - to, że dokładnie zaznaczył, że jest samotna, czy to, że pocałunek, który, ona będzie pamiętać do późnej starości, nie był dla niego niczym nadzwyczajnym. On też przyznał się do samotności.

- Przepraszam. - Zbliżył się do niej. - Miałaś rację. To był błąd.

Wyszli na zewnątrz, lecz zamiast zejść na dół, przykucnął, opierając się o ścianę. Powinna była iść, ale przysiadła obok niego. Zadrżała, a on pomyślał, że to z zimna, zdjął marynarkę i okrył jej nagie ramiona. Wśród młodych, zielonych liści panowała cisza.

- Adamie, gdzie jesteś? - spytała półgłosem.

- Czas płynie. - Jego oczy powędrowały do jej warg, a potem uciekły w bok. - Wspominam nas troje i nasze zabawy: piraci, kowboje, źli i dobrzy Indianie, policjanci i złodzieje, Tarzan.

- Nie zapominaj o trzech muszkietierach.

- Jak mógłbym zapomnieć? - zdziwił się. - To były piękne dni, niewinne i szczerze.

- Pełne miłości - powiedziała po prostu.

- Tak. To były dni, które przygotowały nas do życia, Tory. Dały nam energię na przyszłość i siłę, by przyjąć to, co da nam świat.

- Myślałam, że do życia przygotowało cię skakanie nad urwiskiem na motorze.

- Może. Sądziłem, że potrzebuję czegoś innego - szybkości, przygody. Z wiekiem się zmieniłem.

Miałem - jego głos załamał się - kiedyś miałem wszystko, czego było mi trzeba. Ciebie. Marka.

Znowu pocałowała Adama delikatnie w policzek, wiedząc, że teraz poprowadzą go wspomnienia.

On musi zrobić to, przez co dawno już przeszła reszta zebranych na kolacji. Zostawiła go w domku jego młodości, by oplakiwał śmierć najlepszego przyjaciela. Kiedy odwróciła się, schodząc po drabince, zobaczyła łzy spływające po jego twarzy.

Adam odłożył telefon. U Kathleen znowu włączona automatyczna sekretarka. Nie chciał po chamsku zerwać z nią telefonicznie, ale zapragnął nagle porozmawiać, choćby tylko uprzedzić ją, że przyjedzie.

Cztery dni i żadnej reakcji z jej strony. Nawet późno w nocy.

Nie znaczyło to, że jej nie ma, a po prostu, że nie odpowiada na telefony. Prawdopodobnie pochłaniały ją przygotowania do sprawy. W głębi duszy cieszył się, że ona nie odbiera telefonów, ponieważ ciągle nie wiedział, co jej powie. Dobrze, rzekł sobie, może jestem chamem. Może jeszcze nie przygotowałem się, by spalić za sobą mosty.

Jednak wiedział, że to nieprawda. Mosty zachwiały się, w chwili gdy znów zobaczył Tory i uświadomił sobie, że nigdy nie czuł do innej kobiety tego, co czuje do niej. Jego mosty spłonęły nieodwołalnie wczorajszej nocy. Zaczęły się tlić w momencie, kiedy ujrzał ją ubraną na czarno. A kiedy uległ pokusie, by posmakować jej warg, stanęły w płomieniach. Przekonywał ją, że to nic wielkiego, przyjmując taką linię obrony. Ale teraz nadchodziły czarne myśli. Pragnął Tory to jak dostać dożywocie. Ona go nie chciała i nic jej nie obchodził.

Musiał zabrać ją jutro na puszczanie latawca, a potem nad jezioro. I nie zmuszać jej do pocałunków, nawet nie wyobrażać sobie jej ust o smaku miodu, jeśli chce zachować rozsądek.

Czuł się podobnie jak w tych dniach, gdy mu powiedziała, że wyjdzie za Marka. Jego świat runął.

Próbował zostać, udając, że wszystko będzie jak dawniej. Kiedy się nie udało" z furią rzucił się na

robienie kariery. Zajął pierwsze miejsce na roku, rzadko widując Tory i Marka. A kiedy i to nie poskutkowało, próbował uciec. Ale trzy tysiące kilometrów to zbyt blisko. Zdał sobie teraz sprawę, że koniec świata też nie byłby dość daleki.

Czas stępił ból w jego sercu, ale nie uleczył całkowicie.

Kiedy Adam dostał wiadomość, że Mark jest chory, znowu gorączkowo zabrał się do pracy. A kiedy dowiedział się, że Mark umarł, pozwolił ostatecznie, by umarła w nim cała przeszłość, związana z popołudniami w domku na drzewie .. Przynajmniej tak sądził, dopóki tu nie przyjechał.

Ona, przyczyna zamętu w jego sercu., nie pozwoliła mu wrócić do Toronto. Miała czelność poprosić go, żeby puszczał z nią latawca. Ale dowiodła też, iż po tylu latach zna go lepiej niż ktokolwiek inny, ponieważ zostawiła go samego w domku na drzewie, kiedy potrzebował samotności, by płakać nad Markiem i minionym szczęściem przyjaźni.

Ta kobieta zamierza doprowadzić go do obłądu. Powinien zadzwonić na lotnisko i sprawdzić, jakie loty są tej nocy albo jutro rano. Ale nie zadzwonił, zrzucił buty i położył się na łóżku z rękami pod głowę. Wspominał toast za Marka, który zaproponował jej tata. Zapadła cisza, zapanował spokój. Czuł go również w domku na drzewie, kiedy się już wypłakał. Teraz nie martwił się jutrzejszym dniem.

Zamknął oczy i całkowicie ubrany zasnął.

Siedząc na tarasie, Tory słyszała, jak przyszedł. Pogwizdywał, fałszując straszliwie, jak kiedyś. Kiedy dzwonek u drzwi nie zadzwonił, skupiła uwagę na płocie. Najpierw przeleciały kwiaty, potem zgrabnie wylądował Adam. Zadowolony z siebie podniósł bukiet.

- Jesteś w tym niezły - przyznała niechętnie.

- Ćwiczenie czyni mistrza - uśmiechnął się.

- Nie musiałeś mi przynosić kwiatów. Tamte jeszcze nie zwiędły.

Przyjrzała mu się uważnie. Wyglądał młodo, odświeżony, i rozluźniony. Zeszłej nocy prawie nie spała, myśląc o nim, poruszona jego pocałunkami. Doszła do wniosku, że powinni zrobić to, o co prosił Mark. Raz jeszcze pobawić się w trzech muszkieterów. A potem pożegna się z Adamem na zawsze. Umieści go we wspomnieniach obok Marka i będzie nadal wieść swoje życie, wyrabiając bukiety z zasuszonych kwiatów, włóczęc się koło domu, szpiegując sąsiadów. Być może sprawi sobie kota, żeby dotrzymywał jej towarzystwa.

- Więc jak można puszczać latawca bez biegania?- spytała, nalewając mu kawę.

- Zobaczysz. - Upił duży łyk.

Zobaczyła za chwilę, kiedy podeszli do wynajętego samochodu.

- Dlaczego nie wynajęłaś motocykla? - spytała z lekką tęsknotą.

- Nie ma bagażnika.

- Po co ci bagażnik?

-: Na wózek inwalidzki.

- Na co?

- Wózek inwalidzki.

- Zartujesz?

- Nie.

Zostawił samochód najednym z miejsc parkingowych North Hill's Centennial Park. Wskoczył, otworzył bagażnik i wyciągnął wózek inwalidzki.

Wezbrał w niej śmiech, świeży i czysty jak strumień.

- Wsiadaj.

Zawahała się. Och, dlaczego po prostu nie dać się porwać temu niewinnemu szaleństwu? Przecież to tylko na dzień lub dwa. Robi to dla Marka, choć może też i dla siebie.

Usadowiła się w wózku. Adam podał jej dziwny przedmiot, który wyglądał jak torba z brązowego papieru rozpięta na ogrodowych podpórkach.

- Co to jest? - spytała.

Z przodu miał on niezgrabnie namalowany obrazek smoka z wytrzeszczonymi oczami, który ział ogniem.

- To latawiec.
- Czy to polecisz? - Oglądała go z niedowierzaniem.
- Wątpię.
- Ty to zrobiłeś?
- Nie.

Ulżyło jej. Nie musiała się zastanawiać, skąd wytrzasnął najwyraźniej używane pończochy, stanowiące ozdobę zwisających tasiemek.

- Więc co teraz zrobimy?
- Trzymaj się z całych sił - poradził i zaczął się rozpędzać, biegnąc w dół stromej alejki, która prowadziła do stóp zielonego wzgórza.

## ROZDZIAŁ SIÓDMY

- Adam! Jedziesz za szybko! Adaaaam!

- Puść latawiec w górę. Puszczaj Unkę. Więcej!

Tory zmusiła się, by oderwać oczy od stromej zbocza, i obejrzała się. Oczy Adama promieniały, włosy rozwiewał mu wiatr. Latawiec podniósł się do góry i kołysał nierównomiernie, szarpiąc linkę.

- On leci! - Nie wierzyła własnym oczom. - Adam, szybciej, szybciej!

- Właśnie o to prosiłaś.

Adam skoczył do przodu, wiatr porwał latawiec i uniósł go wyżej, gdy tymczasem ona gorączkowo próbowała rozwijać linkę. Spojrzała przed siebie i serce jej zamarło. Osiągnęli wariacką prędkość. Lepiej skupić się na latawcu. Obejrzała się znowu, Adam dyszał ciężko, krople potu błyszczały na jego czole. Latawiec nurkował w kierunku ziemi.

- Szybciej! - zakomenderowała lekkomyślnie.

Próbował przyspieszyć, ale było za późno. Latawiec uderzył o asfalt alejki za nimi.

- A niech to ... - nie kryła rozczarowania.

Roześmiał się. Wbił się obcasami w ziemię. Musiała z całej siły trzymać się poręczy, żeby nie wylecieć z wózka. Adam poszedł podnieść latawiec. Wracając, starał się trzymać go prosto, bo Tory zaczęła zwijać linkę. Miała niemiłe wrażenie, że wyciąga rybę - grubą i oszalamiająco dużą. Minęła ich zaaferowana młoda matka, pchająca podwójny wózek z bliźniakami, i uśmiechnęła się do Adama.

- Czy latawiec się uszkodził? - Tory starała się przybrać oficjalny ton.

- Zartujesz chyba? Czołg mógłby po nim przejechać i nic by mu się nie stało. I dlatego trudno go utrzymać w powietrzu.

Przyciągnęła go bliżej. Nie spuszczała oka z latawca, ona nie spuszczała oka z niego.

- Fruwał ładnie - powiedziała ostro. - Powinniśmy po prostu jechać szybciej.

- Ach, te kobiety. Trzy minuty temu mówiłaś, że biegłem zbyt szybko.

Adam sprawił też, że w jej sercu i umyśle zbyt szybko działy się rzeczy, które powinny dziać się wolniej. Skoncentrowała się znów na oficjalnej stronie wycieczki.

- Jeśli mamy doprowadzić do tego, żeby latawiec poleciał, musisz biec naprawdę szybko. Wróćmy na szczyt wzgórza i spróbujmy jeszcze raz.

- Mało podoba mi się ten pomysł. - Adam zerknął na wysokie wzgórze i westchnął.

- Wstanę z wózka. Podejdę do góry, a na dół zjadę.

- Twoje kolano to wytrzyma?

- Pewnie. Mogę chodzić. Nie mogę tylko biegać.

- Co za zmiana! Byłaś dziewczyną, która mogła tylko biegać, nie mogła chodzić.

Teraz pojawiły się dwie nastolatki z kolczykami w bardzo dziwnych miejscach. Spozstrzegły latawiec, popatrzyły na Adama i zachichotały.

- Piękny dzień na puszczanie latawca, proszę pań - rzucił w ich kierunku.

Zachichotały znowu, mile polechtane jego uwagą. Popychał wózek pod górę, a ona szła, trzymając się jego ramienia. Zastanawiała się, czy zestarzeje się z nim, czy będą tak powoli szli razem przez jesień życia. Uśmiechnęła się do siebie. Jak gdyby Adam mógł kiedykolwiek zwolnić ...

- Z czego się śmiejesz?

- Właśnie wyobrażałam sobie, że umrzesz, mając sto trzy lata, w wypadku motocyklowym spowodowanym przekroczeniem dozwolonej szybkości.

- Dlaczego tak sądzisz?

- Wózek inwalidzki każe mi myśleć o starzeniu się. - Nie miała zamiaru się przyznać, że przez moment myślała o wspólnej starości.

- Zestarzejesz się pięknie i z niezwykłym wdziękiem.

- Ależ, Adamie, nikt tego nie wie.

- A ja wiem, jak się zestarzejesz.

- Dobrze, jeśli potrafisz takjasoo widzieć przyszłość - czuła, że rumieniec wypływa jej na twarz - i jesteś pewien, że dożyję starości, to tym razem nie przerazi mnie zjechanie ze wzgórza.

- Wspaniale. - Popatrzył na nią z figlarnym ognikiem w oczach.

Usiadła znowu w wózku, myśląc, że zawsze prowokował ją do, szalonych działań, i za jego sprawą stawała się odważniejsza.

- W porządku - zawołała. - Ruszaj!

Popędzili w dół. Jej strach rozwiązał się. Śiniała się z rozkoszy, jaką sprawiał jej wiatr wiejący prosto w twarz i rozwiewający włosy. Obejrzała się. Wiatr pochwycił latawiec, chcąc wyrwać linkę z jej dłoni. U stóp wzgórza Adam zatrzymał się i zakreślił wózkami z takim impetem, że o mało jej nie wyrzucił. Ale zanim zdążyła oskarżyć go, że fatalnie prowadzi, zobaczyła, że latawiec tańczy radośnie w powietrzu. Roześmiała się, bo takiej przyjemności nie czuła chyba od dzieciństwa. Latawiec wznosił się i wznosił. Nagle zaczął opadać, a potem zanurkował. Linka zapętlila się w kształt litery S.

- Biegnij! - krzyknęła.

Znow obrócił ją w wózku i postarał się biec jak najszybciej, ale było za późno. Latawiec zakołysał się i runął na ziemię. Adam podniósł go, a Tory zwinęła linkę.

- Jest tu szczelina - zauważył Adam. - Całe szczęście, że dostałem zestaw do naprawy.

Wyjął z kieszeni rolkę taśmy klejącej, położył latawiec na jej kolanach i zaczął zaklejać szczelinę. Tory miała ochotę pogłaskać jego jedwabiste włosy pachnące słońcem.

Potem jeszcze kilkanaście razy gnali jak szaleni w dół po stromym zboczu wzgórza. Latawiec był już połatany w wielu miejscach, a taśma klejąca musiała podtrzymywać jedną z listewek ramy, na której był rozpięty. A kiedy doszli do wniosku, że nie ma możliwości utrzymania latawca w powietrzu, natura zlitowała się nad nimi i wiatr wzniosł go wysoko. Linka w rękach Tory napięła się, latawiec tańczył nad nimi, domagając się wolności. Wstała, manipulując linką, która rozwinęła się prawie do końca. Adam stał tuż obok. Latawiec zachowywał się jak żywe stworzenie na uWieżi. Ciągnął, wznosił się, opadał i znow wznosił. Uśmiechając się triumfująco, wręczyła linkę Adamowi, chcąc, żeby odczuł to samo, co ona - szarpanie latawca, jego siłę, piękno tańca z wiatrem, wibrującym w koniuszkach palców. Latawiec huśtał się, wznosił i opadał jak egzotyczny tancerz, niezwykły i wspaniały. Nurkował i wracał do równowagi. Przez dwadzieścia minut tańczył, unosząc się w powietrznych prądach.

Nie czuła żadnego żalu, kiedy ni stąd, ni zowąd linka pękła, uwalniając latawiec. Roześmiała się i pomachała w Jego stronę, kiedy wznosił się jeszcze wyżej i smok stał się najpierw jasną plamą, a potem już tylko jasną kropką na odległym niebie.

- Niech to licha ... - zamruczał Adam, patrząc na ucieczkę latawca. - Podejrzewam, że jest wart trochę grosza.

- Naprawdę? Jak to?

Stała przed nim i pod wpływem impulsu oparła się na jego szerokiej piersi. Objął ją. Kiedy byli w szkole, stali tak razem setki razy - oglądając pokaz sztucznych ogni na Scotsman Hill, kibicując szkolnej drużynie na meczach futbolowych czy obserwując zachód słońca nad rzeką.

- Wypożyczyłem ten latawiec od młodego przedsiębiorcy, bardzo pilnie pracującego na swój

pierwszy milion, moim kosztem.

Czuła się tak, jak zawsze w jego ramionach, bezpieczna i na swoim miejscu.

- Czy twój młody przyjaciel dostarczył ci także wózek inwalidzki?

- Niestety. Również riksę ... i łyżworolki.

- Ten "Z drogi, dziadku"?

- Ma na imię Daniel.

- Co ci przyszło do głowy robić z nim interesy? - Niespodziewanie zdała sobie sprawę, że ogarnęła ją coś więcej niż poczucie bezpieczeństwa i troski.

- Ciągłe zjawiał się na mojej drodze.

- Lubię go - przyznała i z wysiłkiem stłumiła chęć wtulenia się głębiej w jego ramiona. - Jest odważny. Chyba rzeczywiście bywa w wielu miejscach.

- Mógłby, gdyby miał lepsze warunki.

Jego ton kazał Tory odwrócić się i spojrzeć mu prosto w twarz. Była nieprzenikniona.

- Zamierzasz mu pomóc, prawda? - zgała.

- Już pomogłem. U niego wypożyczyłem rolki, riksę, wózek inwalidzki. Odkupię także ten cholerny latawiec. - Nie będziesz w stanie tak tego zostawić.

Spostrzegła nagle, że zeszywniał, ale potem zaraz się odprężył.

- Jak to się dzieje, że ty zawsze dojrzysz we mnie to, czego nikt inny nie zobaczy? - spytał cicho.

- Może dlatego, że ty odsłaniasz przede mną to, czego nie pozwalasz dostrzec innym.

Czuła się wspaniale, była szczęśliwa. Mogłaby trwać tak już zawsze, nie zaprzatając sobie głowy większymi kłopotami.

- To było zabawne, nie sądzisz? - spytał.

Jego podbródek opierał się wygodnie o czubek głowy Tory.

- Świetnie się bawiłam, lepiej niż na łyżworolkach.

- To lepsze niż jazda riksą.

- Dlaczego Mark wybrał puszczenie latawca, jak myślisz? Nigdy tego nie robiliśmy jako dzieci.

- Nie, nie przypominam sobie.

- Miał rację, wiesz. Właściwie przestałam się śmiać.

- Myślę, że tak naprawdę to ja też.

- Adam! Kiedyś cały czas się śmiałeś. Co się stało?

- Chyba praca: Życie po prostu. Kto to wie?

- Obiecuj mi, że po powrocie będziesz robił rzeczy, które cię rozśmieszają.

Zdała sobie sprawę, że on wyjedzie. Pamięć o tym, co czuła w jego ramionach stanie się powoli nierealna.

- Jakie rzeczy?

- Och, nie mam pojęcia. Rzeć jak koń do starszych pań albo coś podobnego.

- Więc ty także.

- Co? Mam rzeć do starszych pań? - Próbowwała droczyć się z nim, ale już czuła w sercu pustkę, która powstanie po jego wyjeździe.

- Znajdź sobie coś, co cię będzie rozśmieszać, Tory. Obiecuj mi.

- Co takiego?

Nie mogła teraz wymyślić niczego, co mogło sprawić, żeby znowu się śmiała. Jazda w wózku inwalidzkim w dół po zboczu wzgórza, z prędkością osiemdziesięciu kilometrów na godzinę, była trudna do naśladowania.

- Och, nie wiem. Znajdź jakiegoś faceta, który będzie cię gonił dookoła sypialni, a kiedy cię złapie, zacznij cię łaskotać.

- Adamie!

- Ciągłe boisz się łaskotek?

- Nie chodzi mi o łaskotki!

- Naprawdę? Więc zacznę cię teraz łaskotać, jeśli ci wszystko jedno.

- Nie zaczniesz. Nie jest mi wszystko jedno.

Wolałabym, żebyśmy najpierw poszli do sypialni, przemknęło jej przez głowę i zaczerwieniła się na tę myśl.

Popatrzył na nią chytrze. Wyswobodziła się z jego ramion.

Nie czuli się już bezpiecznie. A właściwie obawiali się tego, co może się stać.

- Trzymaj się ode mnie z daleka - ostrzegła. Zbliżył się o krok.

- Adam, wiesz, że nie mogę biegać.

- Tak. - Podkreślił wymaginowane wąsy. - Wiem.

- Proszę, nie ...

Podszedł bliżej.

- Adamie!

- Zahandluję z tobą. Oszczędzę ci łaskotek w zamian za coś mnego.

- Za co? - spytała, jak gdyby nie wiedziała.

Pocałunek. Pragnęła tego. Pragnęła, by ją pocałował i trzymał ją w ramionach, i łaskotał, i rozśmieszał. Zeby całował ją do utraty tchu, aż przestanie myśleć o słówku "na zawsze", które już raz ją zdradziło.

- Ty kupujesz mi hot doga w tej małej budce w centrum, a ja nie będę cię łaskotał.

Odpowiedź tak ją rozczarowała, że chciała mu wykrzyknąć, co ma zrobić z tym swoim hot dogiem.

Zamiast tego przygryzła wargi.

- Nie ma już tej budki.

- Na pewno wiesz, gdzie można dostać dobre hot dogi.

- Nienawidzę hot dogów.

- Od kiedy?

Od teraz, chciała powiedzieć, odkąd jemu zachciało się hot doga, a nie pocałunku.

- Od kiedy? - powtórzył pytanie. - Mark zwykle przypiekał hot dogi na ruszcie, a ty lubiłaś je ze smażoną cebulą i musztardą, bez keczupu i innych przypraw.

- Dlaczego zapamiętałaś takie głupie rzeczy? - spytała rozgniewana.

- Jestem magistrem. Jem dużo hot dogów. To jeden z wielkich wynalazków dziewiętnastego wieku.

Musiała sobie zapamiętać, że on przyjechał tutaj na prośbę Marka. Nie przybył po to, żeby ją łaskotać i całować, ponieważ to nie figurowało na tamtej głupiej liście.

- Daj mi ten list. - Wyciągnęła ramię w jego kierunku. Spojrzał na nią podejrzliwie, potem wyjął wymiętoszony list z tylnej kieszeni dżinsów. Otworzyła go ostrożnie i szybko prześliznęła się po nim wzrokiem, nie pozwalając sercu bić mocniej, kiedy czytała, że bardziej kochała Adama.

Porządnie złożyła kartkę i oddała mu z powrotem.

- Dlaczego po prostu nie skończymy z tym? - zaproponowała, zaskoczona lodowatym tonem, którym zadała pytanie. - Dziś po południu możemy jechać do domku moich rodziców nad jeziorem Sylvan. Zobaczmy, jak wschodzą gwiazdy i wrócimy do domu. Potem wyjedziesz. Może nawet dziś wieczorem.

I będziesz wolny, dodała w myślach. Ja również.

- Będę musiał dopłacić za wypożyczenie wózka inwalidzkiego, jeśli nie oddam go przed trzecią.

- Więc najpierw go oddamy.

- Dobrze - westchnął. - Ale muszę jeszcze dostać hot doga.

Przejmował się tylko hot dogami i dopłatą. Jeśli martwił się, że dziś w nocy poleci do domu i opuści ją na zawsze, to tego nie okazał. Jego twarz była obojętna. Ale prawnicy są dobrzy w ukrywaniu swoich prawdziwych uczuć. Dlaczego zakłada, że on w ogóle coś czuje, upomniała się surowo w myślach. Miał wprawę w opuszczaniu ludzi, gdy najbardziej go potrzebowali.

I tego ranka ona dołączyła do grupy opuszczonych. Ale on nigdy się o tym nie dowie.

Doszedł do wniosku, że popełnił błąd, wyobrażając sobie, że goni ją dookoła sypialni, dopóki ona nie wybuchnie histerycznym śmiechem. Jeszcze gorszym błędem było to, że jej o tym powiedział, nawet jeśli ukrył swoje pragnienie, przypisując je osobie trzeciej. O wiele bezpieczniej było skierować rozmowę na hot dogi. Co prawda ona nie wydawała się doceniać tego, że sprytnie uratował ich przed zabrnięciem w niebezpieczne rejony, gdzie oboje nie chcieli się znaleźć.

Dlaczego nie, pytał się w duchu. Bo wyszła za jego najlepszego przyjaciela. Bo musiał dalej wieść

swoje życie bez niej. Ta rana nigdy się nie zabiłła. Dlaczego ją znowu otwierać? Oczywiście ona miała rację. Trzeba z tym skończyć, i to szybko.

Wyruszyli z wózkiem inwalidzkim w bagażniku. Milczała z gniewnym spojrzeniem w oku, jak pierwszego dnia. Hot dogi nie były popularnym daniem w Calgary, więc tym bardziej upierał się, by zjeść choć jednego. W końcu znaleźli budkę na deptaku, ale to były najgorsze hot dogi - blad różowe, z małymi kroplami tłuszczu. Zjadł łączywie trzy, bo chciał pokazać, że w ogóle nie zauważył jej chłodu. Zazdrościł jej, patrząc, jak pałaszuje zamówiony jogurt.

Starał się wrócić do momentu, w którym wszystko się zmieniło, i radosne podekscytowanie znikającym latawcem przeszło w stan obecny. To wina jego języka. Zrobił okropną uwagę o facecie goniącym ją dookoła sypialni - w jego wyobraźni oczywiście był to on. A potem próbował niezręcznie to naprawić, mówiąc o hot dogach. Ona stała się zimna jak lód.

Obserwował uważnie jej rysy. Nos zadarty do sufitu, piegi pojaśniały od słońca i potargane przez wiatr włosy, które aż prosiły się, by je dotknąć. Oczy miała odwrócone. Patrzyła na wszystko, tylko nie na niego. Czytała kartę wiszącą na ścianie nad jego lewym ramieniem. Odwrócił się - było to dokładne objaśnienie, jak podzielić mięso świni, z zaznaczonymi dokładnie częściami.

Jak mógłby naprawić tę wpadkę? Ona miała rację. Zakończyć to i lecieć do domu.

Plakat odebrał mu apetyt na hot dogi. Miał nadzieję, że tylko chwilowo.

Pojechali wziąć od jej rodziców klucz do domku nad jeziorem. Żałował, że nie został w samochodzie, ale dobre maniery nakazywały mu wyjść. Jej matka w ogrodowych rękawiczkach wyrywał, a zielsko na klombie przed domem. Otoczona morzem kwiatów prezentowała się bardzo ładnie w kapeluszu z szerokim słomkowym rondem., Znow uderzyła go myśl, że kiedyś Tory stanie się właśnie taka piękna, wypięknieje z każdym siwym włosem i z każdą zmarszczką wokół oczu. Musiał sobie przypomnieć, że nie przyjechał tutaj, by się temu przyglądać. Choćby nawet widział taką nadzieję w oozach pani Bradbury, kiedy Tory poprosiła ją o klucz do domku.

- Oczywiście, ale jest zamknięty od zeszłego roku. Och, gdybym wiedziała, pojechałabym i przygotowała go dla was.

Mówiła, jak gdyby zamierzali tam spędzić miesiąc miodowy.

Rumieniec wypłynął na policzki Tory.

- Mamo, ja tylko chcę wiedzieć, gdzie są krzesła ogrodowe.

Popatrzymy, jak wschodzą gwiazdy, i wrócimy do domu.

- Tory, jesteś dorosłą kobietą. Nie musisz mi mówić, co chcesz zrobić. Tata i ja zawsze' jesteśmy szczęśliwi, kiedy ktoś może nacieszyć się naszym domkiem.

- Nikt nie mówi o cieszeniu się - ucięła Tory. - Gdzie są krzesła ogrodowe?

Pani Bradbury rzuciła zaciekawione spojrzenie na Adama. Wzruszyła ramionami.

- Zobacz na tarasie z tyłu. Patrz, klucz od domku jest na tym kółku.

Adam wziął kółko i odczepił klucz.

- Wkrótce wyjadę - powiedział. - Prawdopodobnie już się nie zobaczymy. .

Łzy napłynęły jej do oczu. Zrobiło mu się bardzo przykro i żałował, że tu wrócił, sprawiając wszystkim ból. Matka Tory pragnęła, żeby został z jej córką, która zdawała się go nienawidzić.

Powstrzymała łzy, zdjęła rękawice i mocno uściskała Adama.

- Zawsze możesz wrócić.

- Dzięki.

Później pojechali do domu Daniela. Kątem oka Adam obserwował, jak Tory zareaguje na widok zniszczonego domu. Wyraz obojętności zniknął z jej twarzy; przyglądała się uważnie popadającemu w ruinę domostwu.

- Prawdopodobnie jest w szkole. Tylko podrzucę wózek ...

- Tam jest - powiedziała cicho.

Daniel zjawił się na ganku w pogniecionej koszuli, ze zmierzwionymi włosami. Adam wysiadł z samochodu. Otworzył bagażnik i wyjął wózek.

- Myślałem, że poszedłeś do szkoły - powiedział, kiedy Daniel pojawił się obok niego.

- Po co? Nie mam pieniędzy, żeby pójść na uniwersytet, nawet gdybym chciał. A nie chcę. -

Podkreślił to z wiele mówiącą zapalczywością.

Tory wysiadła z samochodu.

- Jak pani noga? - Daniel uśmiechnął się do niej.

- Wkrótce będę mogła pobiec w maratonie.

Pod wpływem jej uśmiechu złagodniały ostre rysy chłopaka. Adam patrzył, jak obdarza swoim wdziękiem tego urwisa.

- Straciłem latawiec - przyznał się, przygotowując się na sumę, na jaką Daniel wycenił zgubę. - Był piękny - powiedziała Tory.

Chłopak promieniał i rósł pod jej ciepłym spojrzeniem.

- Powinieneś zobaczyć, jak latał. Kiedy zerwał linkę, wyglądał jak dziki koń, galopujący swobodnie, z głową w chmurach.

- Ile za latawiec? - spytał zrzędlawie Adam.

Jemu nie mówiła, że latawiec wyglądał jak uwolnione dzikie zwierzę. Dla niego, który biegał w górę i w dół po wzgórzu, aż niemal płuc mu nie rozerwało, miała tylko lodowate spojrzenie.

- Latawiec to prezent - oświadczył łaskawie Daniel. - Dla pani. - Pochylił się, ujął jej dłoń i ucałował.

Roześmiała się.

- Skąd wzięłaś wózek? - zapytał srogo Adam.

- Według umowy - odparł Daniel beztrąsko.

- Umówiliśmy się, że go nie ukradniesz.

- Nie ukradłem - rzekł chłopak z oburzeniem, posyłając Tory jeszcze jeden czarujący uśmiešek. - Pożyczyłem go. Właśnie odwożę go z powrotem.

- Prawdopodobnie zażadasz nagrody - mruknął Adam pod nosem.

- Nie pomyślałem o tym. Dzięki, dzie ...

- Nie bądź bezczelny.

- Potrzebuje pan jeszcze czegoś?

- Nie. - Powiedział to i jego wzrok padł na stary motocykl po drugiej stronie żywopłotu. - Czy to harley?

- Tak, należy do mojego brata.

Tory wiedziała, że Adam nie odejdzie, dopóki nie przyjrzy się motocyklowi. Przeszedł przez furtkę, która ledwo trzymała się na zawiasach. Stary chromowany motor był piękny.

- Wspaniała maszyna - stwierdził.

- Mój brat szaleje na jego punkcie. Sam przy nim pracuje. Ubezpieczenie kończy się w następnym tygodniu, więc teraz jeździ, ile tylko może.

- Jak myślisz, może mi go wynająć?

- Jeśli przedstawi mu się to we właściwym świetle, może na to pójdzie. - Twarz Daniela rozpromieniła się, jak gdyby już obliczał swoją prowizję.

- Jedno popołudnie. Przyprawdzą go wieczorem. - Po drodze na lotnisko, pomyślał.

- Porozmawiam z nim.

Daniel wszedł po rozpadających się schodach do domu i zniknął w środku.

- Adam, ty wciąż szalejesz na punkcie złomu. - Tory zbliżyła się do żywopłotu, by popatrzeć na motocykl. Zauważył, że rozmawiała z nim niechętnie, ale rozmawiała.

- Tak. - Musi postępować ostrożnie. - A ty?

- Nigdy nie lubiłam motocykli!

- Oczywiście, że lubiłaś. Często prosiłaś, żebym cię przewiózł, przy tych rzadkich okazjach, kiedy miałem motor na chodzie.

- Chyba lubiłam te przejażdżki. - Lekko się zarumieniła.

- Ale to coś zupełnie innego od twojej namiętności.

- Chcesz motocyklem jechać nad jezioro?

Był przekonany, że odmówi. Jednak nie odmówiła. Zgodziła się. Poczł zalewającą go falę ciepła.

Tory nie mogła w to uwierzyć. Oglądali na tym koszmarnym podwórku czarno-srebrny motocykl przypominający potwora. Właśnie zgodziła się na jego propozycję, więc chyba oszalała. Zamiast samochodem z pluszowymi siedzeniami, pojedą nad jezioro tym harleyem. Powinna powiedzieć

"nie", ale nie posłuchała wewnętrznego głosu. Miał rację. Lubiła wspinać się na siodełko wielkiego, warczącego motoru. Lubiła obejmować Adama ramionami, zanurzać twarz w jego pachnącej skórą kurtce, czuć wiatr we włosach i na twarzy.

Daniel wrócił z bratem, niewiele starszym i bardzo podobnym, który taksował wzrokiem Adama. W oczach młodszego chłopaka widać było respekt i sympatię. Starszy chłopiec i Adam zaczęli z entuzjazmem rozprawiać o gaźnikach. Kiedy omówili już każdą najmniejszą część motocykla, i Adam podsunął chłopcu kilka technicznych sugestii~ przyszła pora na umowę:

Zdała sobie sprawę, że zgodziła się z nim jechać. Zapuszczają się na bardzo niebezpieczne terytorium. Pojadą w przeszłość, do miejsca, gdzie oboje przebywali w dniach radosnej młodości.

Daniel przyniósł jej kask i czarną skórzaną kurtkę z czaszką i skrzyżowanymi pischzelami na plecach. Być może były to dwie najwartościowsze rzeczy w całym domu. Jego gest wzruszył Tory i mimo okropnego obrazka nie mogła mu odmówić. Włożyła zbyt obszerną kurtkę i pieczołowicie zapięła rzemyki kasku pod brodą. Adamowi też pożyczyli kurtkę, czarną, bez ozdób. Wyglądał w niej jak tamten szalony, cudowny chłopak sprzed lat. Usadowił się na siodełku i obejrzał na nią. Dołączyła do niego. Motor zakaszłał i zaczął warczeć. Czowała pulsowanie jego ogromnej siły. Adam wyjechał powoli z podwórka i skręcił w ulicę.

Nie powinna podróżować razem z nim w przeszłość. Miała jednak wrażenie, że nic nie zdoła odwrócić tego, co ma być. W jej życiu, dotąd przesłoniętym ciemnymi chmurami, pojawiły się promyki słońca.

Musieli zatrzymać się na światłach.

- Wiesz - Adam przekrzykiwał warkot silnika - na kim innym ta kurtka wyglądałaby ohydnie, ale na tobie nie!

- Jest ohydna!

- Na tobie jest seksowna!

- Pardon?!

- Jadąc na harleyu, nie mówi się pardon.

- Niech będzie, co przedtem powiedziałaś?

- Zapomniałem.

Wiedziała jednak, że nie zapomniał i że dobrze usłyszała. Przeszył ją dreszcz od stóp do głów.

## ROZDZIAŁ ÓSMY

- Adam! Jedziesz za szybko! Aaaaam!

Roześmiała się i wiedział, że szybkość, że wcale jej nie przeszkadza. Czuł się jak w raj. Motocykl był wspaniały, droga gładka, dzień cudowny. I Tory trzymała się go mocno. Lubił, kiedy z nim jeździła, miała wyjątkowy zmysł równowagi, balansowała ciałem na każdym zakręcie. Trudno im było rozmawiać z powodu kasków, huk silnika i wiatru, ale nie potrzebowali słów, żeby się doskonale rozumieć.

Autostrada numer 2 przebiegała przez rolnicze tereny w środkowopółnocnej części stanu Alberta. Widzieli zielone pola, czerwone stodoły i stada tłustego bydła.

Kiedy Adam zobaczył drogowskaz wskazujący jezioro Sylvan, chciał go ominąć i pędzić dalej.

Pożegnać się z dotychczasowym życiem, z Toronto, z pracą, z rutyną, ze wszystkim. Jechać drogą tam, dokąd go zaprowadzi. I jechać tak bez ustanku, zawsze. Tylko że nic nie ma "na zawsze". Ale kiedy jej ramiona oplatały go ciasno, wszystko wydawało się absolutnie możliwe.

Skręcił w zjazd na autostradę numer 11 X, a potem wjechał prosto w główną ulicę, Lakeshore Drive, małego miasteczka Sylvan Lake. Na początku czerwca nie było tu jeszcze tłumów. Adam zwolnił, obserwując, czy dużo się zmieniło. Z przyjemnością patrzył na dawniej zaniedbane domki, które teraz miały wygląd prawdziwych rezydencji. Dzielnica handlowa, przecinająca ulicę biegnącą od publicznej plaży, prezentowała się elegancko.

Tory walnęła go w plecy, kiedy przejeżdżał obok drugiej lodziarni. Przyhamował i wyłączył silnik.

- Jak możesz się nie zatrzymać na lody w miejscu, które nazywało się "U pani Moo"?

- To dawniej była stacja benzynowa?

Ściągnęła kask. Włosy przylegały jej do głowy. Powinna wyglądać jak strach na wróble, ale w

trudny do wytłumaczenia sposób była niewiarygodnie piękna.

- Zdaje się. Zobacz, tu mają trzydzieści smaków.

Zdjął swój kask i poszedł za Tory. Kurtka z czaszką była uszyta jak na nią.

Przewidywał, że ona obejrzy skrupulatnie każdy z trzydziestu gatunków lodów, wydając ochy i achy nad tymi bardziej egzotycznymi. I w końcu wybierze lody z syropem klonowym. I rzeczywiście, przestudiowała dokładnie całą ofertę z nosem niemal przy szybie zamrażarki.

Zachwycała się samymi nazwami. On zamówił czarną kawę, a ona po dwunastu minutach namysłu lody z syropem klonowym. Czuł się, jakby nigdy stąd nie wyjeżdżał. Jak gdyby znał jej serce i duszę.

- Nie będziesz jadł lodów? - spytała z niedowierzaniem.

- Mam słabość tylko do hot dogów, a zjadłem już dzisiaj trzy.

Było zbyt ładnie, by siedzieć w środku, więc wyszli na zewnątrz, oparli się o motocykl i patrzyli na jezioro. On popijał gorącą kawę, ona lizała lody. Uderzyło go to przeciwieństwo między nimi:

gorąco i zimno. Tory i Mark byli bardziej podobni do siebie. Mark także lubił lody, przede wszystkim czekoladowe. Nie był nudny, ale przewidywalny. Natomiast przy rzadkich okazjach, kiedy Adam jadł lody, wybierał te z najbardziej dziwaczną nazwą: „zebra Zucchini”, „Granatowy placek”, „Lampart nakrapiany cytryną”. Nagle poczuł gniew na Marka, za to, że zrobił rzecz najmniej przewidywalną - umarł i zostawił Tory samą. I zostawił także jego, a on beznadziejnie nie nadawał się do tego, by doprowadzić wszystko do ładu.

Obok przebiegła kobieta, dwa razy bardziej atrakcyjna od Tory, w fioletowych szortach z lycry i w skąpej koszulce.

Uśmiechnęła się do niego. W odpowiedzi też się uśmiechnął, choć nie zrobiła na nim wrażenia;!

Tory zmierzyła go wzrokiem, jak gdyby uśmiechem zapraszał tamtą, by się do nich przyłączyła.

- O co chodzi? - spytał, widząc minę Tory.

- Och, czy ty zawsze musisz przyciągać uwagę? - zirytowała się.

Wiedział, że teraz nie wygra z nią i nawet nie próbował, ale mimo wszystko zaczął się bronić.

- Nie robię tego umyślnie.

- To jest przez to tylko bardziej irytujące. Dla swojego własnego dobra powinieneś być mniej przystojny.

Miało to być oskarżenie, ale on usłyszał w tym coś innego.

Tory uważała, że jest przystojny. Nigdy tego nie mówiła. Jednak to nie wystarczyło, żeby powiedziała "tak" wtedy, kiedy najbardziej tego pragnął.

Nie miałyby sensu, gdyby była zazdrosna, że uśmiechnął się do kobiety, której nie znał i której nie chciał poznać. Tory nie mogłaby zadręczać się zazdrością, to nie leżało w jej naturze. Zerknął na nią. Ze słodką miną błdziła wzrokiem po tafli jeziora. Jadła łączywie lody, które zaczęły spływać po rożku. Słowem - demonstrowała bez troskę. Ale jego analityczny umysł uporządkował informacje. Przez moment ona odczuwała zazdrość, kiedy uśmiechnął się do biegaczki.

Oznaczało to, że całe jego życie mogłoby się zmienić, jeśli tylko zechciałby tego. Najlogiczniej byłoby natychmiast zawrócić i odjechać. Droga, którą dzisiaj przebyli, uświadomiła mu tęsknoty, o których nie chciał nic wiedzieć i niezadowolone z własnego życia. Udało mu się przez długi czas zataić przed sobą ten mroczny sekret.

Wracaj, mówił mu instynkt samozachowawczy. Jednak list w jego kieszeni, głos Marka, napominał go, by nie zawracał, szedł dalej ku najważniejszej przygodzie swego serca.

- Adam, czy nie powinniśmy już jechać? - Wytarła ręce \0 dzinsy. W kąciку ust został jej ślad po lodach.

- Tak, powinniśmy jechać.

Ale dokąd? Naprzód czy z powrotem? Domek łączył oba kierunki, przeszłość i przyszłość. Nie mógł teraz wracać do Calgary. Jeszcze nie. Jeśli poczeka kilka godzin, ustawią krzesła ogrodowe, będą patrzeć, jak wschodzą gwiazdy, a potem pomkną z powrotem na motocyklu przez rozgwieżdżoną noc. I wtedy wszystko się zakończy. Wypełni wszystkie zadania z listu Marka, odzyska swoje życie, proste i przewidywalne.

Tory nagle zeszytniała i zaczęła nerwowo rozglądać się dookoła.

- Co się stało?
- Słyszałeś to?
- Co?
- Jakiś mężczyzna się śmiał.
- No i co?

- To był głos Marka. - Patrzyła na niego szeroko rozwartymi brązowymi oczami.

Oczywiście jako prawnik wiedział z całą pewnością, że Mark nie śmiał się z jego żalonych ludzkich wysiłków opanowania sytuacji. Ale chłopiec, który ciągle w nim żył, ten, który znał Marka tak dobrze jak siebie, wcale nie był tego taki pewien.

Tory starła kurz z lustra w łazience i przyjrzała się sobie. Włosy miała straszne, po jeździe w kasku w fatalny sposób przylegały do głowy. W kąciu ust odkryła smugę lodów. A więc jego wzrok, co jakiś czas błakający się wokół jej ust: znaczył jedynie, że ona potrzebuje serwetki.

Domek wydawał się duszny, zawilgocony, ciemny i zimny.

W tym roku jeszcze nikt nie otwierał wodociągu, a Tory nie chciała prosić Adama, by zrobił to tylko dlatego, że ona chce dla niego wyglądać elegancko.

To okropne, że poczuła falę chorobliwej zazdrości, kiedy ta miss Kanady przebiegła obok ruch.

Może on odgadł, że była zazdrosna? Chyba jednak po trzydziestce nie tak łatwo ją przejrzeć?

Oczywiście w tym wieku można sobie darować takie małostkowe uczucia jak zazdrość.

- Tory! - zawołał. - Idę włączyć wodę, żebyśmy mogli zrobić sobie gorącą czekoladę.

- Jeśli ci zależy - wybąkała.

Doszła do wniosku, że to był fatalny pomysł, by przyjechać tutaj harleyem. Bezpieczniej byłoby zostać przy samochodzie. Ten motocykl, zapach skóry, bliska obecność Adama stworzyły niesamowitą atmosferę. Wszystko w niej śpiewało i miała wrażenie, że kapie się w słonecznym świetle po długim przebywaniu w ciemnościach. Kiedy zobaczyli jezioro, odkryła w sobie nadzieję, że on nie zechce wrócić, że po prostu będą jechać dalej. Dokąd, pytała gderliwie samą siebie. Do Edmonton? Odkryła, że wzbudził w jej sercu tęsknotę za podróżą.

Słońce zaraz zajdzie. Teraz musi wyjść z domku, usiąść na ogrodowym krześle, popijać gorącą czekoladę, obserwować wschodzące ~wiazdy i udawać. Udawać, że nie jest zmieszana i że nie czuje zazdrości o każdą kobietę, która uśmiecha się do niego i do której on się uśmiecha. Musi udawać, że nie myśli ze zgrozą o jego odjeździe, że jej serce nie rozdziera się na samą myśl o tym, co nastąpi, kiedy wszystkie punkty z listu Marka nataną wypełnione.

Pięć dni temu do jej serca zawitała wiosna, która panowała już na świecie. Wszystko zaczynało się od nowa w jaskrawej zieleni i śpiewie ptaków. Nadzieja wisiała w powietrzu. Ale zanim pojawił się Adam, nie zdawała sobie sprawy, że wieździe życie nudne i monotonne. Chciała zresztą tak żyć.

Po śmierci Marka życzyła sobie, żeby wszystko było uporządkowane. Chodziła spać zawsze o tej samej porze. Na śniadanie regularnie jadała owsiankę. Nie przesuwiała mebli. Chciała czuć, że są rzeczy, które trwają niezmiennie, rzeczy, nad którymi sprawuje absolutną kontrolę. Tak rozpaczliwie pragnęła bezpiecznego świata, w którym wszystko można przewidzieć.

I nagle wrócił Adam i wlał w jej żyły nową chęć do życia, świadomość, że wszystko jest możliwe. Zapragnęła małego flirtu, miała ochotę nie wiedzieć, co się stanie.

W rurach zabulgotało i woda trysnęła z kranu, zostawiając brudne kropie na jej koszulce. Proszę bardzo, powiedziała sobie. Oto, co się dzieje, kiedy nie wiesz, co się stanie - bałagan. Bałagan nie do opanowania. Czyli to, co dzieje się z jej włosami.

Postanowiła, że musi jakoś poprawić fryzurę. Ale niby dlaczego? Nie będzie współzawodniczyć z kobietami, gotowymi rzucić się mu do stóp. Ma zamiar zrobić na nim wrażenie?

- Żeby skłonić go do pocałunków - odpowiedział jej jakiś głos.

- Nie chcę jego pocałunków - skłamała. - Pozwól mi rozegrać to inaczej. On wkrótce odjeżdża. Jeśli szczęście dopisze, dziś w nocy. A ja ...

- Tory, do kogo ty mówisz? ~

- Do nikogo - zawołała i z przerażeniem stwierdziła, że jej ręka bezwiednie schwyciła szczotkę do włosów.

- Idę narąbać trochę drzewa. Chyba będzie chłodno, więc może rozpalilibyśmy ognisko. Świetnie. Ognisko, gorąca czekolada, wschodzące gwiazdy, a do tego naj przystojniejszy na świecie mężczyzna. Co prawda żałowała, że powiedziała mu, iż jest atrakcyjny. Jak gdyby sam o tym nie wiedział.

Po długich i niezbyt udanych próbach doprowadzenia włosów do porządku zeszła do niego. Miał rację, w powietrzu czuć było chłód. Zadrżała. On tymczasem rąbał drzewo. Siekiera wznosiła się nad jego głową i opadała w równym rytmie. Okrągłe kawałki pnia rozłupywały się na pół z trzaskiem, rosła mała góra drewna. Jeśli Adam będzie tak nadal pracował, jej rodzice będą mieli zapas na cały rok.

Domek był skromny w porównaniu z letniami domami, które wyrosły wokół jeziora. Przypominał kwadratowe pudełko zrobione z cedrowych bali. Otaczały go wysokie sosny i topole. Okno frontowe wychodziło na jezioro. Na małym ganku przy drzwiach stały dwa ogrodowe krzesła. Poczowała nagłą tęsknotę. Jej rodzice siadywali tak ramię w ramię od czterdziestu lat. Matka ciągle patrzyła na ojca z całkowitym oddaniem, a on wciąż droczył się z nią jak z młodą dziewczyną, chcąc, by się zarumieniła. Często zresztą sprawiała mu tę satysfakcję.

Wychodząc za Marka, Tory myślała, że jej małżeństwo będzie podobne: rosnąca w spokoju miłość, domek nad jeziorem, dzieci pędzące na plażę. Przez moment niemal je widziała, dzieci wybiegające spomiędzy drzew na trawnik, z krzykiem i pluskiem wskakujące do wody. Czy patrzyła w przyszłość, na dzieci, których nie miała, czy też w przeszłość? Ona, Mark i Adam bawili się często nad brzegiem jeziora.

- Dlaczego taka ponura?

Wzdrygnęła się na dźwięk jego głosu. Minał ją chwiejnym krokiem i zrzucił ogromny stos drewna obok miejsca na ognisko. Potem przeniósł tam krzesła. Wrócił do niej, uśmiechając tak, jak uśmiechał się dawno temu, kiedy popełnił coś niewybaczalnego, na przykład wrzucił ją do wody w nowiutkich szortach, i chciał załagodzić jej wybuch gniewu.

Teraz także pod wpływem tego uśmiechu zniknął jej smutek.

- Myślisz o nim? - spytał.

- O nas wszystkich: O tobie, o sobie, Marku, mamie i tacie. I wszystkich tych latach, które minęły.

- Ja też. Domek wydaje się mniejszy, a drzewa wyższe. I wydaje się, że duchy śmiejąc się biegają między nimi.

Zdumiona odwróciła się do niego, ale patrzył na drzewa, błędząc myślami gdzieś daleko.

- Nie zaznałem potem tak cudownych chwil - powiedział cicho. .... Chwii, kiedy wszystko układało się tak dobrze. Wydaje się, że widzę wszystkie te nasze letnie popołudnia, które spędziliśmy tutaj, zalane złotym światłem. Potem zbliżałem się do tego uczucia, kiedy jadąc na motocyklu pustą drogą, dodawałem gazu. I podobnie czułem się dzisiaj rano, kiedy puszczaliśmy tego latawca. Znowu ją zadziwił. OB przecież miała to samo wrażenie.

To, co opisywał, czuła " dzieciństwo nad jeziorem, w dniu ślubu z Markiem, i dziś, kiedy Adam gnał jak torpeda po zboczach wzgórz, a wiatr unosił zmimi latawiec.

- Robi się ciemno: Zoaczmy, kto pierwszy ujrzy Wenus. Najnaturalniej w świec~ wziął ją za rękę i poszli do ogniska.

U siadła, otulił ją kocem, a sam dorzucił <4ew do ognia. Drewno trzaskało, iskry unosiły się do nieba.

- Tam jest! - krzyknęła.

. Odwrócił się od ognia Na niebie migotała i bladła Wenus, dzisiaj dobrze widoczna.

- Pomyśl jakieś życzenie - przypomniał jej.

Spojrzała na jego twarz: w blasku ognia. Pomyślała życzenie, tak głupie, że bardziej paDwałoby do romantycznej nastolatki, i tak wielkie, że słowa re mogły go wyrazić, tylko uczucie. Uczucie, które miało cośwspólnego z tamtymi roześmianymi dziećmi, biegającymi między drzewami.

Ogrodowe krzesło obk niej zatrzeszczało pod jego ciężarem. Ręka Adama znalazła jej dłoń pod kocem. Zupełnie jak tamtej pierwszej nocy na .anku. I jak wtedy było to bardzo miłe uczucie.

- Brakuje mi go - powiedział spokojnie.

- Mnie też.

Siedzieli w ciszy, a ra po raz mrugała jakaś gwiazda.

- Może on jest tam "górze i poluje z Orionem - odezwała się po dłuższym milczeniu. - Jak myślisz?

- Kiedyś w ogóle ni myślałem o takich rzeczach. Teraz myślę przez cały czas.

- I co?

- Nie wiem, Tory. Mój rozum mówi, że co jest skończone, to skończone. Kładą cię do ziemi i obracasz się w proch.

- A jednak? ..

- Jednak moje serce mówi, że mózg jest najgłupszą częścią mojego ciała.

Zaśmiała się cicho.

- Tory, serce mi mówi, że on jest z nami. Jest w nas, bo zmieniliśmy się pod jego wpływem.

Mieliśmy ten przywilej, by się z nim przyjaźnić. I czuję jeszcze coś więcej, jak gdyby był tutaj i czuł nad nami, ciągle nas kochając. Jak gdyby jego miłość wciąż trwała.

- Miłość przetrzyma każdą próbę.

- Właśnie. Pójdę przygotować tę gorącą czekoladę. - Podniósł się nagle.

- Dobrze.

Siedziała w pogłębiającej się ciemności. Światła zapaliły się nad jeziorem w Jarvis Bay. Odrzuciła w tył głowę i patrzyła na gwiazdy. Dzisiejszej nocy wyglądały wspanialej niż zwykle, jak gdyby śpiewały i tańczyły, jak gdyby znały sekret wszechświata i nie mogły stłumić radości.

Podszedł cicho, więc spostrzegła go dopiero, kiedy był tuż przy niej. Podał jej czekoladę i znowu usiadł obok.

- Cieszę się, że tu jestem. - Dorzucił trochę drewna do ognia.

Czuła, że mogłaby siedzieć tak przez resztę życia.

- Musimy już wkrótce jechać. - Przywrócił jej poczucie rzeczywistości. - Robi się naprawdę zimno, a ja nie chcę, żebyś na motocyklu zamieniła się w sopel lodu.

Wysunęła się spod koca i nagle ogarnęło ją przejmujące zimno. On zajął się gaszeniem ogniska, a ona poszła do domku

i umyła twarz. .

- Możesz nie wyłączać wody - zawołała do Adama. W czerwcu nie zamrznie, nawet w stanie Alberta.

- Nie bądź taka pewna - wszedł, zatrzasnąwszy za sobą drzwi.

- Naprawdę jest zimno na dworze. A tu w środku niewiele cieplej.

Przyświecając sobie latarką, zamknęli domek i poszli do motocykla. Tory rozmyślała o swoim życzeniu~ ale wcale nie o tym, żeby się spełniło. I nagle przypomniała sobie ową ostatnią wspólną podróż przez ciemności nocy na jego motorze. Tamta jazda doprowadziła do oświadczeń, które odrzuciła. Westchnęła. Adam spojrzał na nią badawczo. Potem zaciągnął suwak kurtki, gotów do drogi.

Skończone, przeszło jej przez myśl. Wszystko skończone.

Wszystko skończone, pomyślał, zapinając kurtkę. Rzucił jeszcze jedno spojrzenie na rozgwieżdżone niebo, próbując stłumić rosnące uczucie rozczarowania. Co prawda dotrzymał umowy i wywiązał się z obowiązków.

Tory czekała przy harleyu. Przypomniał sobie, jak dawno temu pewnej szalonej nocy stali razem w ciemnościach obok motocykla. Pracował nad motorem i o czwartej nad ranem silnik jakimś cudem ożył i zaczął warczeć. W tym momencie ogarnęła go taka radość, że po prostu musiał podzielić się z kimś swoim szczęściem. Pobiegł więc pod dom Tory i zastukał do okna jej sypialni. Podeszła, zaspana, ale zadowolona, bynajmniej nie rozgniewana, chociaż od razu oznajmiła mu, że rano ma zajęcia na uniwersytecie.

Nic nie szkodzi, przekonywał. Obiecał jej noc pełną magii. Bardzo łatwo było ją namówić.

Chichocząc, wyskoczyła przez okno, zadowolona, że zachowuje się niezbyt rozsądnie, ciesząc się na przygodę. Wsiadli na motocykl i pojechali w kierunku Banff. Z daleka było widać ogromne ciemne mamuty, Góry Skaliste. Przed świtem zaczęły szarzeć, później pierwsze promienie słońca zaróżowiły ich szczyty. Wtedy zjechał na pobocze, usiedli i napawali się w milczeniu pięknym krajobrazu. Przed nimi przedelfilował łoś, cicho jak duch.

Nigdy, ani przedtem, ani potem, Adam nie doświadczył takiego uczucia zjednoczenia ze wszechświatem. Autostrada, motor, góry, łoś i świt, i ona, dziewczyna, którą kochał, dzielili z nim wszystko. Wówczas uświadomił sobie, że zawsze chciał, by Tory towarzyszyła mu w każdym momencie, który daruje mu życie. Poprosił więc, by za niego wyszła. Zobaczył na jej twarzy tak wielką radość, że przez chwilę uwierzył w szczęście. Ale trwało to krótko - radość znikła i pojawił się przestrah. Cudowny moment został całkowicie zniszczony. Nawet nie dotarli do Banff. Odpowiedziała mu ze łzami w oczach i z ręką w jego dłoni, że nie wyjdzie za niego. "Nie, w żadnym razie nie".

Niedługo potem ona i Mark ogłosili swoje zaręczyny.

- Ty także to wspominasz, prawda? - odezwał się niespodziewanie.
- Co? - Cofnęła się o krok, patrząc w ziemię.
- Tę noc, kiedy pojechaliśmy do Banff. Prawie do Banff.
- Tak.

Dostrzegł łzy w jej oczach. Chciał, jak przystało na dženteimena, nie wyprowadzać jej bardziej z równowagi i nie zauważyć niczego. Jednak nie mógł tego tak zostawić.

- Dlaczego? - zapytał.
- Adam, proszę, nie.
- Nie kochałaś mnie?
- Wiesz, że kochałam!
- Kochałaś go bardziej ode mnie?
- To nie jest uczciwe pytanie.
- Muszę wiedzieć.
- Adamie ...
- Proszę .. - U słyszał błaganie we własnym głosie i zawstydził się.
- Wtedy nie chodziło ani o ciebie, Adam, ani o Marka. Chodziło o mnie.
- Nie rozumiem.
- Nie mógłbyś być ze mną szczęśliwy.
- Ja nie mógłbym być z tobą szczęśliwy?
- Tak.
- Czy kiedyś prosiłem cię o szczęście? Ludzie się nie uszczęśliwiają wzajemnie. Jak możesz tak mówić?
- Adam, jestem nudziarą. Zawsze byłam nudna i prawdopodobnie będę.
- Ty? Nudna? - Nie posiadał się ze zdumienia.
- Oświadczyłeś się pod wpływem chwili. Nie przemyślałeś tego.
- Nie myślałem o niczym innym, odkąd skończyłem dwanaście lat.
- Prawdopodobnie byłeś napalony i liczyłeś na to, że jeśli powiem "tak", pojedziemy po prostu do najbliższego motelu. - Nigdy nie uważałem, że jesteś tego rodzaju dziewczyną - powiedział posepnie.

Nie mógł zaprzeczyć, że miał wtedy dwadzieścia dwa lata i bez przerwy myślał o seksie.

- Adam, próbuję ci uświadomić, że nie ma we mnie niczego nadzwyczajnego.
- Jest!
- Ależ nie.

Uprzytomnił sobie, że stojąc w ciemnościach, klóca się o sprawy, które dawno były zamknięte. Nie prowadziło to do niczego. Ale chciał ją poruszyć. Victoria Bradbury, zwyczajna kobieta, też pomysł! Victoria Mitchell, upomniał siebie.

~ Wsiadajmy na ten piekielny motocykl - zaproponował. W siadła z wysoko podniesioną głową. Nie mógł się doczekać, kiedy zostawi ją za sobą na zawsze. Wsiąść do samolotu, wrócić do Toronto i zapomnieć, że kiedykolwiek spotkał tę drażniącą, frustrującą kobietę.

Nacisnął energicznie na starter. Odpowiedzią był dziwny, głuchy dźwięk, nic poza tym. Spróbował jeszcze raz uruchomić silnik i znów usłyszał tylko pusty odgłos. Podniósł oczy na gwiazdy. Teraz on z kolei pomyślał, że słyszy śmiech Marka.

## ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Adam śledził wzrokiem odchodzącą Tory. Z podniesioną głową, kołysząc biodrami, weszła po schodkach do domku, otworzyła kluczem drzwi i zatrzasnęła je za sobą. Zapalił światła motocykla. Czuł coś w rodzaju ulgi. Znał się na motocyklach i wiedział, jak je doprowadzić do ładu. Po raz pierwszy od pięciu dni poczuł się w swoim żywiole. Kłopoty mobilizowały go. I to zarówno te prawne, jak i techniczne. Zeby je rozwiązać, trzeba było zaangażować intelekt i doświadczenie. Jednak "kłopot", który właśnie wkroczył do domku, sprawiał mu ogromne trudności. Lekko pogwizdując, znalazł zestaw narzędzi, przytwierdził latarkę do gałęzi drzewa tak, by oświetlała jego miejsce pracy i zabrał się do roboty.

W domku panował wręcz zimowy chłód. Tory słyszała, jak Adam gwizdże. Wydawał się szczęśliwy, rozbierając motocykl na części. Ją doprowadzało to do szału. Jak mógł zacząć dyskusję o tamtej strasznej nocy, a potem natychmiast zająć się problemem technicznym?

Wyszła przez tylne drzwi i wzięła ze stosu narzędzie świeżo porąbanego drzewa. Rzuciła je w domku przed piecykiem, opalonym drewnem. Zgniotła w kulkę gazetę, wkładając w to o wiele większą siłę niż było trzeba. Dodała podpałkę i roznieciła ogień.

W istocie tamta noc nie była straszna, lecz pełna czaru. Miała uczucie, że sięga gwiazd migoczących na nocnym niebie, że odkrywają wszechświat, pędząc w kosmicznej przestrzeni. Czuliła z Adamem niezwykle pokrewieństwo, chociaż odkąd wyciągnął ją z domu, nie padło między nimi ani jedno słowo. Miała wrażenie, że jego duch unosi się i rośnie niczym żrebak, wypuszczony na zielone pastwisko. Prowadził potężną maszynę bez wysiłku, ujawniała się w tym jego wiara w życie i we własne siły.

Oświadczyły sprawiły jej przez chwilę taką radość, jak nigdy w życiu - wydawało się, że na szczycie świata zaczerpnęła niewiarygodnie czystego powietrza, że stojąc na krawędzi przepaści rzuciła się naprzód. i odkryła, iż może fruwać. Nawet teraz potrafiłaby dokładnie opisać Adama. Światło księżycy tańczyło w jego czarnych włosach. Jego oczy, ciemne i tajemnicze, wpatrywały się w nią tak intensywnie, że jeszcze wiele lat później przyprawiało ją to o dreszcz. Spojrzała na jego dłonie, silne, a kształtne i przez chwilę pozwoliła sobie myśleć, co oznaczałoby w istocie małżeństwo z nim, co robiliby razem.

Kilka minut później oskarżyła go, że oświadczył się jej tylko dlatego, że *ml* ochotę pójść z nią do motelu. Być może wcale tego nie chciał tamtej nocy, może to tylko ona tego pragnęła. I może właśnie to, że omal nie straciła kontroli nad sobą, spowodowało, że odzyskała równowagę. Adam działał pod wpływem chwili. Jego wdzięk płynął w dużym stopniu z tego, że spontanicznie poddawał się biegowi spraw. Był facetem, który potrafi zamienić wyprawę do sklepu spożywczego po mleko w pełną śmiechu awanturę. Robił to, co czuł, że jest dobre w tym momencie. Prosząc, by za niego wyszła, zastanawiał się nad tym tyle, ile nad swoim skokiem na motorze nad urwiskiem. Chciał być może zatrzymać magię tej nocy na zawsze. Czy gdyby inna dziewczyna jechała z nim na tylnym siedelku, też by się jej oświadczył? Któż wie, co on sobie właściwie myślał? Po przebłysku radości i walce z własną namiętnością przyszły wątpliwości. Jej rodzice, którzy stanowili dla niej wzór dobrego zachowania, nigdy nie robili niczego pod wpływem impulsu. Dorzuciła duży kłoc drzewa do ognia. Lecz tamtej nocy przecież powiedział, że nie myśli o niczym innym, odkąd skończył dwanaście lat, więc to wcale nie był chwilowy impuls. A na tej kolacji wprowadziła ją w ogromne zakłopotanie to, że rodzice najwyraźniej nie widzieli żadnych przeszkód, by go teraz, poślubiła. Nikt nie planuje małżeństwa w wieku lat dwunastu. Jednak nie mogła nazwać Adama łgarzem. Nigdy nie kłamał. Poza tym na jej decyzję nie wpłynął jego charakter, ale jej własny. Dziś wieczorem powiedziała mu całą prawdę: była po prostu zwyczajną dziewczyną, daleką od tego, by prowadzić niezwykle, ekscytujące życie. Sądziła, że on będzie objeżdżał świat i zdobywał Himalaje. Będzie uczył się surfingu na ciepłych hawajskich plażach, a w Hiszpanii nauczy się mówić po hiszpańsku. Będzie gasił płonące szyby naftowe i podróżował na Daleki Wschód, żeby studiować buddyzm u dalajlamy. Myślała, że w jego pełnym przygód życiu nie będzie miejsca na taką dziewczynę jak ona, która będzie chciała go ujarzmić, która boi się skakać na linie z mostu czy przedzierać się przez dżunglę, jada posiłki regularnie o ósmej rano, w południe

i o dziewiętnastej, lubi spać w czystej pościeli i zawsze w tym samym łóżku. Tory pragnęła życiowej stabilizacji i uważała, że A(Jam nie może jej tego zapewnić. Marka zaś darzyła spokojną miłością, która wydawała się trwała i podobna do uczucia, jakie przez wiele lat łączyło jej rodziców.

Ogień rozpalił się i nagle poczuła się zmęczona, wykończona przeżyciami ostatnich pięciu dni. Chciała gdzieś się położyć, ale w domku wszędzie panowało nieznośne zimno. Ściągnęła więc materac z łóżka i położyła przed piecykiem. Przeszukała wszystkie pomieszczenia i znalazła tylko jeden koc, ten, w który zawinęła się, kiedy siedzieli oglądając gwiazdy. Teraz okryła się nim i wyciągnęła na materacu. Zamknęła oczy i nakazała sobie zasnąć. Zamiast tego zaczęła myśleć o liście, który Mark wysłał Adamowi. Uraziło ją to, że mąż sądził, że ona bardziej kocha Adama. Inaczej, broniła się, nie bardziej, lecz maczej.

Dobiegła jej uszu długa wiązanka przekleństw. Tylko się uśmiechnęła.

I nagle poznała prawdę. Zawsze kochała Adama bardziej, nie inaczej. Łzy pociekły jej po policzkach. Płakała nad swoją zdradą i nad tym, że Mark wiedział. Kochała Adama bardziej i bała się siły tej miłości, tych górskich wyżyn, na które on by ją zabrał, i upadku z tak oszałamiających wysokości.

Czy teraz miało to jakiegokolwiek znaczenie? On wyjeżdża. Gdyby nie ten głupi motocykl, już by wyjechał. Po co wracać do przeszłości? Uświadomiła sobie naraz, że jednak musiała wrócić, by móc nadal żyć, mieć jakąś przyszłość. Musiała poznać tę szaloną i niepokojącą stronę swojego charakteru, którą zawsze tłumiała, a która zbliżała ją do Adama. Ta jej część zgodziła się na nieoczekiwany motocyklowy rajd o czwartej nad ranem i chciała odpowiedzieć "tak" na oświadczenia, pragnęła wspinać się na najwyższe szczyty, jeździć na motocyklu, odkrywać z plecakiem cały świat. Miała także świadomość, że jej rzeczywistość jest ograniczona i że Adam może ją wyprowadzić dalej niż marzyła w najśmielszych snach.

Łzy ciągle spływały po jej twarzy. Znów wróciła myślami do tego listu. "Ale teraz wie o życiu nieco więcej. Nie będzie się bała przyjąć tego, co jej przyniesie". Jednak bała się. Nie, poprawiła się, to życie nic jej nie przyniosło. Adam po prostu wypełnił swoje zobowiązania wobec niej i nie zaproponował nic ponadto.

Minęła godzina, a sen nie przyszedł. Dołożyła jeszcze dREW do ognia i słuchała, jak on na dworze wciąż przechodzi od gwizdania do przeklinania i z powrotem. Przypuszczała, że teraz jest w swoim żywiole.

Przeszła następna godzina. Tory zapadała w drzemkę, i budziła się. Kiedy ocknęła się po raz kolejny, Adam stał w drzwiach. Chuchał w usmarowane ręce, bardzo zmarznięty. Usłyszała deszcz bijący w dach domku.

- Czy motocykl naprawiony? - spytała rozespana.

- Nie.

Podszedł do niej i uśmiechnął się. Policzek miał pobrudzony smarem. Jego uśmiech był spontaniczny i ciepły.

- Adam, chodź do łóżka. Pomyślimy o tym rano. Zesztywniał i rozejrzał się dookoła.

- Łóżko? Masz na myśli twoje legowisko?

- Jest tylko jeden koc - roześmiała się cicho. - I tylko jedno palenisko. A ty wyglądasz na zmarzniętego.

- Mam nadzieję, że wiesz, co robisz.

- Będę spać - powiedziała poważnie. - I ty również.

Spojrzał na nią z góry.

Jej serce biło jak szalone. Naprawdę igrała z ogniem. Ale coś w niej gwałtownie pragnęło dręczyć Adama, doprowadzić go do granicy wytrzymałości. Jednak stłumiła tę chęć. Jakaś jej część chciała mieć go całego, nie tylko jego ciało, i marzyła o tym, odkąd skończyła dwanaście lat.

Zamknęła oczy, by nie widzieć, że on stoi obok, pewny siebie, ~ płonącymi oczami.

Zniknął i po chwili usłyszała płynącą z kranu wodę. Potem wrócił, tylko w dżinsach. Nie miała zamiaru kusić losu i powiedzieć mu, żeby zdjął spodnie, mokre od deszczu.

Wśliznął się pod koc. Czowała ciepło jego skóry, chociaż jej nie dotykał. Pachniał zabójczą

mieszanką: deszczem i motocyklem.

- Co się stało z motocyklem? - wyszeptła.

- Do licha, nie wiem.

- Kiedy zaczęło padać? - spytała, próbując prowadzić niezobowiązującą rozmowę.

- Mniej więcej godzinę temu - odparł lakonicznie, nie ułatwiając jej zadania.

Już wiedziała, że być może nikt nie zdoła mieć całego Adama, z jego sercem, umysłem, duszą i ciałem. Zdała sobie sprawę, że coś między nimi pękło, i że ona powinna to naprawić. - Adamie? -

Wątpiła, czy wystarczą słowa, ale musiała to wreszcie powiedzieć.

- Tak?

- Przepraszam. Przepraszam, że cię uraziłam. - Nie odważyła się ani na niego spojrzeć, ani wypełnić ciszy nerwowymi usprawiedliwieniami, które przychodziły jej do głowy.

- Postąpiłaś właściwie. Wysłałaś za właściwego faceta. W jego głosie słyhać było tłumione emocje.

- Przepraszam, że oskarżyłam cię o to, że mi się oświadczyłeś pod wpływem impulsu. Przepraszam, że posądziłam cię o działanie z ukrytych pobudek. Nie miałam racji, sugerując, że chcesz wszystko zakończyć w motelu. Traktowałeś mnie zawsze z wielkim szacunkiem.

Cisza.

- Miałam niewiarygodne szczęście, że dwóch tak wspaniałych mężczyzn mnie kochało - skończyła drżącym głosem.

- Tory, bądź cicho.

Dałaby wszystko, żeby znikł ten ból w jego głosie. Leżeli obok siebie sztywno, nie dotykając się, a napięcie jak wąż wkradło się między nich. Wiedziała, że te dni puszczenia latawca, śmiechu i szaleństw musiały ich doprowadzić do tego momentu, w którym może zostać przerzucony most nad rzeką bólu, bólu wielkiej miłości, która zesłała na manowce, wzięła zły zakręt na drodze przeznaczenia. W ciemnościach niemal wyczuwała jego walkę. Westchnął..

- Chodź tu - zażądał, cicho.

I poszła, z chęcią, w jego ramiona, jak gdyby tam zawsze było jej miejsce. Przywarła do niego jak do tratwy ratunkowej na wzburzonym morzu. Był jak potężny dąb, nie wzruszony wśród wichrów, jak opoka w oceanie ruchomych piasków.

Nie próbował jej całować, ale przytulił mocno. Napięcie najwyraźniej go opuściło, oddychał miarowo i głęboko. W końcu pocałował w czubek głowy, a potem zasnął.

Kiedy rano obudziła się, miejsce obok niej było puste. Wiatr od jeziora wiał prosto w okno i trzeszczał rozpalony ogień. Poczula zapach kawy i usłyszała głęboki pomruk silnika motocykla.

Adam zmieszany patrzył na motocykl. Ostatniej nocy, już w deszczu, próbował go uruchomić i nic. Poddał się i wrócił do domku. A teraz, kiedy niczego nie dotknął, wielka maszyna pomrukiwała, jak gdyby nigdy nie odmawiała posłuszeństwa. Wyłączył silnik i uruchomił jeszcze raz, żeby sprawdzić, czy to szczęśliwy przypadek. Jednak to nie był przypadek.

Pokręcił głową. Teraz wszystko się zmieniło. Kłopot sprawiał mu motocykl, a nie uczucia. Coś bardzo ważnego wydarzyło się wczoraj w nocy. Wszedł, a ona spała na materacu blisko ognia. Stał i patrzył na nią, na jej twarz w delikatnym blasku płomieni. Spostrzegł, że wygląda znów młodo, jak gdyby jej życia nie dotknęła tragedia. Czyżby jego misja się powiodła?

Nie ucieszył się, gdy zaproponowała, żeby spał razem z nią.

Znaczyło to dzielić jedynie materac i koc, nie poza tym. Trząsł się z zimna i wiadomo było, że tylko w ten sposób może się rozgrzać. Rozgrzał się rzeczywiście, kiedy zastanawiał się jak ona wygląda nago. Poszedł do łazienki i myjąc się lodowatą wodą, doszedł do wniosku, że zaproszenie Tory to okazanie mu, że ona ma do niego zaufanie. Było to ważniejsze niż porwy namiętności i chwile ekstazy w jej ramionach. Zresztą ta jedna noc spędzona z nią wszystko 'by skomplikowała. Powrót samolotem do Toronto wydawałby się potem nie do pomyślenia. Nie, przespanie się z Tory pociągałoby za sobą poważne zobowiązania. Już nawet jako chłopiec wiedział, że poddanie się zapierającemu dech wrażeniu, które ona na nim wywierała, wymaga poważnego przemyślenia, na przykład tego, co on zamierza uczynić z resztą swojego życia. I co ze swoim życiem zrobi ona?

Chyba zawsze znał odpowiedź, jeszcze zanim był zdolny zadać sobie to pytanie. Już kiedy miał

dwanaście lat, czuł się wobec niej zobowiązany, nigdy o tym nie zapomniał i nigdy nie pragnął niczego innego. Bez niej nawet nie próbował odkrywać świata. A to pytanie zadał sobie dopiero teraz, przed trzydziestymi trzecimi urodzinami. Przyszło mu do głowy, że jej druga odmowa zniszczyłaby mu życie, zniszczyłaby płomyk nadziei, którą ciągle żywił. Nie mógł zresztą poruszać tak poważnych spraw tutaj, nad jeziorem Sylvan, kiedy był zmęczony jak pies, bezradny i zmoknięty.

Wrócił z łazienki i położył się przy niej. Nie miał nadziei, że zaśnie *mimo* straszliwego znużenia, które go ogarnęło. Pachniała cudownie, cytryną i płonącym drewnem. Zapragnął przytulić się do niej, ale dzinsy miał przemoczony, a nie chciał, żeby zrobiło jej się zimno. Dawne urazy kazały mu się wycofać.

A wtedy ona przeprosiła go za to, że zraniła go wiele lat temu, w tamtą rozgwieżdżoną noc na drodze do Banff, kiedy odsłonił przed nią swoje najskrytsze pragnienie. Nie myślał wówczas, że jego oświadczenia będą dla niej tak wielką niespodzianką. Sądził, że ona wie, co on czuje, i że odwzajemnia to uczucie. Jej odmowa zdruzgotała go. Miał wrażenie, że nic tego nie naprawi. I zdziwił się ogromnie, że kilka prostych słów, które wypowiedziała tej nocy, dotarło do jego serca i rana się zablizniła. Tkwiący w jego świadomości nieokreślony ból, który dręczył go od lat, nagle minął.

Ton głosu Tory świadczył, że naprawdę jest jej przykro. Spojrzał na nią ukradkiem i zobaczył na policzkach ślady łez. Zdał sobie sprawę, że nigdy jej nie przebaczył, że zrobił. to dopiero w tej chwili. Poczul się wolny. Zastanowił się, po co właściwie wrócił tutaj. Czy po to, żeby ją rozśmieszyć, czy dla tego właśnie momentu? Czy uzdrowił jej serce, czy swoje własne? Jego myśli nabrały teraz jasności. Znał już prawdziwy sekret Victorii. Przez te wszystkie lata sądził, że ona kochała bardziej Marka, a tak wcale nie było.

Wiedział, dlaczego wyjechał i usunął się. Podobało mu się to nowe wcielenie: człowiek, któremu udało się mimo wszystko zachować lojalność wobec obojga najlepszych przyjaciół. Czuł ciepło Tory, wtulonej w jego ramiona, i wielką, rosnącą radość. Nie miał pojęcia, co przyniesie mu przyszłość. Ten moment starczył za wszystko.

Tory doszła do wniosku, że tego ranka Adam jest inny, młodzieńczy i szczęśliwy, jak gdyby zdjęto mu ciężar z ramion.

- Powinieneś wybrać sobie zajęcie związane z motocyklami - powiedziała do niego.

Uśmiechnął się szeroko. Z jego oczu biła radość, jak gdyby czas się cofnął i byli znowu najlepszymi przyjaciółmi, a życie nie zdążyło im dać jeszcze lekcji.

- Jedziesz dzisiaj do domu? - spytała, wiedząc, że jego odpowiedź pomoże jej wybrać między strachem a radością.

- Nie wiem - odparł, patrząc na nią tak, jak gdyby wszystko od niej zależało.

Dosiadł motocykla i zapuścił silnik.

- Jak to naprawiłeś?! - próbowała przekrzyczeć hałas. Pokręcił tylko głową.

Usadowiła się na siodelku za plecami Adama i przytuliła policzek do jego ramienia. Chciała, żeby ta podróż nigdy się nie skończyła.

Znowu pojawiło się to słowo: "zawsze". Związane z nim były i lęk, i radość. Podobnie jak z Adamem. Poranne powietrze było wilgotne i świeże. Wydawało się jej, że powrót do domu nie zajął im tyle czasu, co jazda do domku. Czy to dlatego, że chciała jechać tak i jechać, pędząc bez celu razem z nim?

Zostawił ją przed jej gankiem i pomachał na pożegnanie. Nie powiedział nawet, czy się jeszcze zobaczą.

Weszła do domu. Wszystkie rzeczy, które jeszcze wczoraj dawały jej komfort i radość, wydawały się bez znaczenia. Światelko automatycznej sekretarki mrugało, więc odsłuchiwała wiadomości. Zamówienia na dekoracje kwiatowe i pytania o zaległe zamówienia. Poza tym matka pytała ją o wyprawę do domku. Nagle odczuła gwałtowną potrzebę, by z nią porozmawiać.

Matka nalęła jej kawy i podeszła do kuchennego blatu. Układała w wazonie świeżo ścięte kwiaty.

- Jak było nad jeziorem? - spytała, nie odwracając się.  
- W porządku.  
- Co robiliście?  
- Oglądaliśmy, jak wschodzą gwiazdy. Wiesz przecież.  
- Nie wiem. - Matka puściła do niej oko.  
- Nie to ... - Tory zaczerwieniła się. - Doprawdy, mamo.  
- Dzwoniłam do ciebie wczoraj w nocy. Nie było cię jeszcze w domu. Po prostu się zastanawiałam.  
- Motocykl się zepsuł. Musieliśmy zostać na noc. Mamo!  
- Nic nie powiedziałam! - Postawiła kwiaty na stole i opadła na miękki fotel naprzeciwko córki.  
- Nie musiałaś. Na miłość boską! Gdyby było prawo, które nakazywałoby matkom pragnąć tych rzeczy dla córek dopiero po ślubie ...  
- Po ślubie? - podchwyciła matka skwapliwie.  
Tory milczała. Bawiła się chwilę swoją filizanką, a potem podniosła oczy na matkę i zadała pytanie:  
- Jak byś się czuła, gdybym wyszła za Adama, a nie za Marka?  
- Zawsze dziwiłam się, że tego nie zrobiłaś.  
Tory osłupiała.  
- Och, kochanie, nie wątpiłam nigdy, że kochałaś Marka. Ale ty i Adam mieliście coś szczególnego. Iskrę, której większość ludzi szuka przez całe życie i nie znajduje.  
- Mark wiedział - westchnęła Tory.  
- Tak sądzę.  
- Och, Boże.  
- Wszyscy wiedzieliśmy. Przypuszczam, że wszyscy, z wyjątkiem samego Adama, wiedzieli, że jego kochasz bardziej.  
- Przerazało mnie to, że tak bardzo go kocham.  
- Wiem, kochanie.  
- Był taki szalony.  
- Chciałaś, żeby taki był - powiedziała łagodnie matka.  
- Naprawdę kochałam Marka. Nigdy go nie oszukałam.  
- Jest tak wiele odmian miłości, ile kwiatów w moim ogrodzie. I ta miłość, którą kochałaś męża, była dobra, silna, wierna i czuła. Ale nie zdradziłabyś go, gdybyś teraz wybrała inny rodzaj miłości. Myślę, że tego chciałby dla ciebie.  
- Ach, mamo, ale Adam nie ...  
- Pytałaś go?  
- On powinien mnie spytać!  
- Raz już spytał, córeczko.  
- Skąd wiesz?  
- Matka wie takie rzeczy. Tory, nie spodziewaj się, że on znowu złoży u twych stóp swoje serce, jeśli jasno nie określisz własnych uczuć. Zrobiłaś to?  
- Oczywiście, że nie. Ukrywałam to przed nim.  
- Kochanie ...  
- Tak, mamusiu?  
- Nie ukrywaj przed nim tego, co czujesz.  
- Powinam mu powiedzieć? - westchnęła.  
- Zaufaj mu - poradziła matka.  
- Boję się.  
- Więc wracaj do swego domu i zajmuj się dalej kwiatowymi dekoracjami. Nigdy się nie dowiesz.  
- Muszę wiedzieć.  
- Życie daje ci coś wspaniałego, Tory. Ale musisz mieć odwagę, by to przyjąć.  
Mark napisał w liście, że teraz będzie więcej wiedziała o naturze życia i nie będzie się już bać. Nagle opuścił ją lęk. Wiedziała, gdzie zatrzymał się Adam. Czy był tam jeszcze, czy już wyjechał? Przecież z pewnością pożegnałby się z nią! A może nie?  
Rozważała to po wyjściu od matki, idąc do domu po samochód. Nagle zapragnęła biec. W połowie

drogi zdała sobie sprawę, że ma na sobie wczorajsze wygniecione ubranie. Przyszło jej do głowy, że włosy ma też w strasznym stanie. Poczowała, że Się pOCI.

W hotelu spytała o numer pokoju Adama. Recepcjonista popatrzył na nią z poczuciem wyższości, ale Tory tylko się uśmiechnęła. Adam jeszcze nie wyjechał. Powie mu, że go kocha do szaleństwa i na zawsze. Rzuci się w jego ramiona i poprosi, żeby się z nią ożenił. Zaraz ...

Zapukała do jego pokoju. Drzwi się otworzyły. Stała w nich kobieta, wysoka i smukła. Miała połyskliwe czarne włosy, szafirowoniebieskie oczy i przenikliwe spojrzenie. Była nienagannie ubrana w rzeczy, które musiały pochodzić z kolekcji znanych projektantów mody. Z taką kobietą można było rzucić się w każdą przygodę.

Przyjaciółka Adama.

To, co Tory chciała mu przekazać, uwięzło jej w gardle.

Zamiast tego poczuła wstyd, że ludziła się, iż on nie kocha tamtej dziewczyny. Jak mógłby nie kochać piękności, która stała przed nią? Tylko dlatego, że nie jeździła z nim na motocyklu, który miał jedno miejsce do siedzenia? Przecież ta kobieta mogła jeździć na swoim własnym harleyu, i to nie za nim, ale przy nim.

- Tak? - spytała kobieta, mierzając Tory rozbawionym spojrzeniem.

Tory usłyszała szum prysznic w łazience.

- Przepraszam, pomyliłam pokoje - wyszeptała i odwróciła się, zanim łzy wzbierające jej pod powiekami zaczęły płynąć.

## ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

- Adamie, kiedy brałeś prysznic, przyszła jakaś dziewczyna. Właściwie kobieta, chociaż miała w sobie coś sympatycznie dziewczęcego. Powiedziała, że pomyliła pokoje, ale miałam . wrażenie...

Adam zamarł z głową owiniętą ręcznikiem. Tory.

- Jak wyglądała? - spytał ostrożnie.

- Rude loki. Oczy jak u szczeniaka.

Wymamrotał słowo, z którego Tory zawsze się śmiała.

- Adamie? - Kathleen zmarszczyła brwi.

- Kathleen, muszę ci opowiedzieć całą historię.

- Ja też muszę ci coś opowiedzieć. Właśnie dlatego przyjechałam. Czy możemy porozmawiać w czasie lunchu?

Miał wielką chęć pobiec za Tory, ale wiedział, że najpierw musi załatwić sprawę tutaj. Przeżył szok, kiedy wrócił do hotelu i zastał Kathleen czekającą na niego. Nadarzała się więc okazja.

Kathleen nie wybaczyłaby mu, gdyby kazał jej się łudzić, że czeka ich wspólna przyszłość. Ciągłe był brudny od smaru, którego nie mógł zmyć zimną wodą w domku, i koniecznie potrzebował kilku minut, żeby przemyśleć, co powie Kathleen. Postanowił więc wziąć prysznic.

Po co Tory tu przyszła? Dawało mu to jakąś nadzieję. Myślał tylko o tym, kiedy razem z Kathleen jadł lunch w hotelowej restauracji. Załedwie słyszał, co ona mówi, ale dotarło do niego coś o chłopaku z czasów szkolnych, który odwiedził ją niespodziewanie. Odnowili przyjaźń i coś znów zaiskrzyło między nimi.

- Między nami nigdy nie było tej magii, Adamie - stwierdziła. - Chociaż tak bardzo tego pragnęłam. Nagle coś usłyszała i obrócił się, rozglądając po restauracji. - Co się stało? - spytała. - Adamie, wyglądasz, jakbyś zobaczył ducha.

- Widzieć nie widziałem - wymamrotał. - Ale z całą pewnością słyszałem, jak się śmieje.

- Powiedz mi coś o tej dziewczynie - uśmiechnęła się, Wyglądasz inaczej niż kilka dni temu.

Młodziej. Nie, właściwie nie młodziej. Nie potrafię tego określić.

Opowiedział jej O liście, o Marku i o Tory.

- Ty ją kochasz - podsumowała Kathleen z ulgą w głosie.

- To właśnie widać teraz na twojej twarzy. Przedtem tego nie zauważyłam. I co zamierzasz zrobić?

Nie odzywał się.

- Och, jesteś zupełnie taki jak twój ojciec - Kathleen roześmiała się. - Przypomnij sobie, jak to było, kiedy Hanna zaczęła się nim interesować. Aż trudno uwierzyć, że tak długo przed nią uciekał,

choć ty, ja i cały świat wiedzieliśmy, że dobrana z nich para.

- Pamiętam.

- Czy rodzina o tym wie?

- Możliwe.

- Musisz pójść do Tory i powiedzieć jej, co czujesz do niej i co zawsze czuleś.

- Już raz powiedziałem.

- Adam, ty się boisz. Ty?!

- Owszem.

Kathleen ujęła, w swoje ręce jego dłonie.

- Dostrzegłam coś w jej spojrzeniu, kiedy otworzyłam drzwi.

- Co zobaczyłaś?

- Ze absolutnie nie masz się czego obawiać.

Godzinę później wsadził Kathleen do taksówki, na pożegnanie pocałował ją delikatnie w czoło i z całego Serca życzył wszystkiego najlepszego. Rozejrzał się po ulicy. Nie zauważył dziewczyny z kwiatami na jej zwykłym miejscu na rogu i przestraszył się, że przeniosła się gdzieś indziej. A potem zobaczył, że krąży z koszykiem kwiatów tam i z powrotem wśród przechodniów. Jej twarz rozjaśniła się na jego widok.

- Potrzebuję czegoś od pani. - Wyjaśnił, o co chodzi. Zdziwiła się ogromnie i o mało nie rozplakała.

- Będę miała w tym miesiącu na czynsz. Ale pan nie robi tego tylko ze względu na mnie? Pan naprawdę potrzebuje tyle kwiatów?

- Naprawdę.

- Gdzie indziej dostanie pan taniej.

- Wiem.

- Jest pan dobrym człowiekiem - wyszeptała.

- Mam taką nadzieję.

- Mam nadzieję, że ona jest pana warta.

- Jest. - Uśmiechnął się.

Tory leżała na kanapie. Wciąż jeszcze się nie przebrała. Obok niej na podłodze stało dwulitrowe wiaderko lodów z syropem klonowym. Było oczywiście zbyt wcześnie, żeby jeść lody w takiej ilości. Włączyła także telewizor i oglądała telenowelę. Nigdy w życiu nie interesowała się telenowelami, ale teraz sprawiała jej przyjemność śledzenie nieszczęść, lęków i skomplikowanych relacji między bohaterami.

Od płaczu dostała czkawki i siąkała nosem. Nie chciała nawet spojrzeć w lustro. Zadzwieczał dzwonek u drzwi, ale nie zwróciła na to uwagi. Przenikliwy dźwięk rozległ się jeszcze raz, i jeszcze raz. Potem jej piękne drzwi zostały potraktowane brutalnym kopniakiem.

Włamuj się, zaprosiła w myślach intruza. Zabij mnie. Jestem gotowa umrzeć.

- Hej, proszę pani, otwierać!

Rozpoznała ten głos. Bez pośpiechu podeszła do okna w salonie i odsunęła firankę. Na ganku stał Daniel. Pomachał do mej.

Zasłoniła okno. Nie zamierzała otworzyć drzwi.

- Proszę wyjść, pani Mitchell!

Znowu wyjrzała na ganek. Skąd znał jej nazwisko?

- Cała moja przyszłość od tego zależy! - zawołał.

Z westchnieniem podeszła cicho do drzwi i uchyliła je lekko.

- Proszę popatrzeć. - Cofnął się i teatralnym gestem wskazał na ulicę.

Przy krawężniku stała riksza. Część przeznaczona dla pasażera była cała wypełniona kwiatami.

Kwiaty znaczyły drogę rikszy na jezdni.

- Czulem się jak idiota, jadąc tym przez miasto. - Uśmiechnął się.

Spojrzała na niego, na kwiaty i znów na chłopaka.

- Dziadek gra wysoko. Powiedział, że da mi stypendium. Myśli, że zostanę prawnikiem. Ja!

Na chwilę jej własny ból zelżał. Daniel miał minę zadowoloną i szczęśliwą.

- Byłbyś dobrym prawnikiem - powiedziała do niego.

- Aha. Odkąd pamiętam, moja rodzina znajdowała się po drugiej stronie prawa. Ja prawnikiem! - Mogę to sobie wyobrazić.

- Czy pani wie, ile może zarobić dobry prawnik? - rozpromienił się.

- Nie, chyba nie wiem.

Poinformował ją.

- Na dzień? - spytała.

...: Na godzinę! - wybuchnął śmiechem.

- A więc twoje stypendium zależało od podstawienia tego wehikułu wypełnionego kwiatami?

- Za rok czy dwa też będę się tak wykwintnie wyrażał. On funduje mi stypendium, bo czuje do mnie sympatię, coś w tym guście. No więc muszę mu pomóc, wie pani.

- Ja nie muszę. A te kwiaty to po co?

- Dla pani, szanowna pani!

- Och! - Oczywiście, to efektowny gest na pożegnanie. Chciałby, żeby zapamiętała go na zawsze, jak gdyby kiedykolwiek zapomniała.

- On już pojechał? - Musiała tego się dowiedzieć.

- Pojechał? - Daniel był zbity z tropu.

- Do domu, do Toronto.

- Nie. - Pokręcił głową. - Przechodzi przez pani płot z tyłu domu.

Patrzyła na chłopaka zdjęta zgrozą. Dotknęła bezwiednie rozczochranych włosów.

- Tak, powinna się pani przyczesać - poradził. - I ma pani coś białego na wardze. O, tutaj! - Dotknął kącika własnych ust.

- O Boże! - Zatrzasnęła mu drzwi przed nosem.

- Gdzie ja mam zostawić te kwiaty!? - wrzasnął.

Nie wiedziała, co ma zrobić najpierw. Wpadła do łazienki.

Włosy były w beznadziejnym stanie. Pobiegła do sypialni. Musi chociaż się przebrać. I jeszcze musi ...

- Torrry!

Zamarła. To był krzyk bólu. Wyrzała przez okno. Adam leżał plackiem na rozgniecionej sosence. Trzymał się za nogę i jęczał.

Błyskawicznie znalazła się przy nim.

- Co się stało? - Uklękła i odgarnęła włosy, które spadły mu na oczy .

- Przepraszam. Odkupię drzewko.

- Pytam, co ci się stało?

- Zdaje się, że skręciłem nogę w kostce. Chyba naprawdę jesteśmy na to za starzy, Tory.

- Na co?

- Wiesz przecież.

- Nie, nie wiem.

-Dlaczego przyszedł do mnie do hotelu?

- Na motocyklu zostawiłam portfel. Ale nie szkodzi, nie było w nim pieniędzy.

- Nie zauważyłem żadnego portfela - powiedział podejrzliwie. - Jak można coś zostawić na motocyklu?

- Uważasz, że kłamię.

- Tak.

- Och.

- Więc?

- Co więc?

- Dlaczego przyszedł do mojego hotelowego pokoju?

- Chciałam zobaczyć twoją dziewczynę. Jest bardzo ładna.

- Możesz pomóc mi się podnieść?

Nie chciała go znowu dotykać, ale pomogła mu wstać. Oparł się na niej ciężko i pokuśtykał powoli

na taras.

- Dlaczego przyszłaś do mojego pokoju w hotelu? - spytał natychmiast, kiedy usadowiła go przy ogrodowym stole. - Chcesz kawy?
- Niekoniecznie. Ona nie jest już moją dziewczyną.
- Nie jest?
- Nie. Spotkała swoją dawną miłość i znów zaiskrzyło między nimi.
- Ach, to ona kogoś spotkała.
- Tak. Dlaczego przyszłaś, Tory?
- Chciałam ci coś powiedzieć.
- Co?
- Tak się zachowujesz w sądzie?
- Tak. Przezywają mnie stale "bulldog Reed". Co przyszłaś mi powiedzieć?
- Zapomniałam.
- Nie, nie zapomniałaś.
- Pozwól, że ujmę to inaczej. Nawet gdybym pamiętała, nie powiedziałabym ci.
- Zostanę tutaj, dopóki mi nie powiesz.
- Nie zostaniesz.
- Zostanę.
- Świetnie. - Skrzyżowała ręce na piersiach. - Chcesz ciasteczko?
- Nie, jeśli ty je upiekłaś.
- Mówisz bardzo miłe rzeczy kobiecie, do której próbujesz się zalecać.
- Zalecać się do ciebie? Dlaczego tak myślisz?
- A co z tymi kwiatami?
- Pomagam tylko dwójgu biednym dzieciakom dostać się do college'u.
- Ty kochasz mnie do szaleństwa - orzekła.
- Przyszłaś do hotelu, żeby mi to powiedzieć? - Uśmiech zadrgał w kąciu jego ust.
- Tak, że ty kochasz mnie do szaleństwa i chcesz spędzić resztę życia, goniąc mnie wokół sypialni.
- To właśnie przyszłaś mi powiedzieć?
- Prawie.
- Prawie?
- Z wyjątkiem - wzięła głęboki oddech - słówka "ty", które możesz zastąpić słówkiem „ja”. Ja kocham cię do szaleństwa.

- Ach, Tory.

Zerknęła na jego piękny profil, a potem spuściła wzrok na swoje kwiaty, starając się rozszyfrować to "ach, Tory". Mogło znaczyć wszystko. Odsłoniła przed nim swoje serce, a on zachowywał się tajemniczo.

- A kiedy to odkryłaś? - spytał spokojnie, po chwili milczenia, które zdawało się trwać wieki.
- Ze kocham cię do szaleństwa?

Powiedziała a, więc musi powiedzieć b. Dlaczego nie wyznać mu wszystkiego? Dostała od losu drugą szansę, musi więc wybierać: albo powiedzieć prawdę, albo próbować przeżyć resztę życia, jedząc lody z syropem klonowym i oglądając telenowele. I tak może skończyć w ten sposób.

Może jednak nie skończy.

Wyciągnęła rękę i dotknęła lwej paszczy w skrzynce. Przyglądała się jej z uwagą.

- zawsze - wykrztusiła. - Odkąd cię pierwszy raz zobaczyłam. Kątem oka dostrzegła, że nie był tym zaskoczony, a sądziła,
- że będzie. Pokiwał lekko głową. - Wiedziałeś - rzekła cicho.
- Domyśliłem się ostatniej nocy.
- Jak?

- Nie wiem. Po prostu już wiedziałem. I zorientowałem się, że Mark też znał powody, dla których się usunąłem. Kochałem cię. Można to było dostrzec w każdym moim spojrzeniu. Kochałem cię i nie mogłem się tego wyrzec. Wyjechałem więc, a Mark doskonale wiedział, dlaczego. I wiedział, że nie chciałem cię urazić, chociaż wolałbym,

żebyś wybrała mnie. Jego zresztą też nie mógłbym zranić. Niech spoczywa w pokoju, sądził pewnie, że mój wyjazd to rodzaj prezentu dla niego.

- Bo to był twój prezent dla nas obojga. Gdybyś został, prędzej czy później odwróciłabym się od niego. Kiedy chorował, czułam się czasami bardzo samotna, chciałam, żebyś się zjawił. I byłam zadowolona, że nie przyjechałeś.

- Nigdy byś go nie zdradziła.

- Dzięki tobie.

- To nie leży w twojej naturze.

- Mam nadzieję, że nie. Cieszę się, że nie poddałeś mnie tej próbie.

- Dlaczego wyszłaś za Marka?

Spojrzała na kwiaty, ogarnęła wzrokiem taras, który zbudował Mark, wspomniała jego łagodny uśmiech, delikatny sposób bycia. Czuła się przy nim bezpieczna i kochana.

- Kochałam go - odrzekła cicho.

- Nie popełniłaś błędu, wychodząc za niego. - Adam skinął głową.

- Wiem. - Rozpląkała się.

- Stało się to, 'co musiało się stać. Nie wybrałaś złego kandydata. Wiesz, wierzę, że we wszechświecie istnieje jakiś porządek. Poddałaś się temu porządkowi, kiedy poślubiłaś Marka. Ta miłość miała swoje miejsce i ozas. Dostałaś ją z innego wymiaru, z nieba., jeśli wolisz. Nie mogłaś jej odrzucić.

Przytaknęła przez łzy. Adam podszedł do niej i jak tamtego pierwszego poranka posadził ją sobie na kolanach, gładził po włosach. Mówił, jaka dobra jest miłość, jedyna siła zdolna zmienić świat na lepsze. Wyjaśniał, że prawdziwa miłość nie może zranić, tylko uzdrowić. I że dzięki miłości do Marka ona stała się silniejsza.

- Teraz przyszła nasza kolej, żeby być razem. Ulepszyć trochę świat, wzajemnie się kochając.

Podniosła na niego twarz zalaną łzami.

- Czy prosisz mnie, żebym za ciebie wyszła?

- Tak.

- Och, Adamie, jak kobieta może być kochana przez takich dwóch mężczyzn?

- Musi być niezwykłą kobietą.

- Ale ja taka nie jestem. Jestem po prostu zwyczajna.

- Ach, Tory.

- Nie wiem, co znaczy to "ach, Tory".

- Znaczy, że nie dostrzegasz w sobie tego, co widzą inni.

- Na przykład?

- Miłość, która rozświetla twoje oczy i ogarnia każdego, z kim się stykasz. Miłość, którą wkładasz w te wiązanki kwiatów i którą przelałaś na swój ogród i dom. Wokół siebie wszystko staje się takie jak ty - piękne.

- Nie mów mi tego, kiedy moje włosy tak wyglądają.

- Piękne - powtórzył zdecydowanie.

- Nie chcę mieszkać w Toronto - oznajmiła.

- To zabawne, bo ja też nie.

- Gdzie chcesz żyć?

- A gdzie ty?

- Wiesz, tej nocy, kiedy wyruszyliśmy do Banff, mówiłeś o podróży dookoła świata na motocyklu, prawie bez pieniędzy.

Roześmiał się cicho.

- Tego właśnie chcę.

- Ty?

- Adam, przez całe życie grałam. Ilumiłam tę stronę mojej natury, która marzy o wspinaniu się na górskie szczyty i o surfowaniu. A teraz chcę ujeżdżać dzikie konie i uczyć się hiszpańskiego w Hiszpanii.

Przyjrzał się jej i zaczął się śmiać.

- Jesteś zaszokowany?
- Ani trochę. Zawsze wiedziałem, że zamiast mnie skoczyłabyś chętnie na motorze nad tym urwiskiem.
- A dlaczego tego nie zrobiłam?
- Potrzebowałaś kogoś, kto by cię popchnął.
- Zamierzasz mnie popchnąć?
- Nie.
- Nie?
- Nie.
- Dlaczego?
- Mark już to zrobił.

Mówił prawdę. Ironia losu sprawiła, że to spokojny i zrównoważony Mark nauczył ją, że życie jest krótkie, że chcąc żyć pełnią życia, trzeba podejmować ryzyko i że w życiu nie ma ani bezpiecznej drogi, ani żadnych gwarancji. Z wyjątkiem ścieżki, którą podąża się za własnym sercem.

Odezwał się dzwonek u drzwi. Zignorowali go. Zadzwoił znowu.

- To prawdopodobnie Daniel - powiedział Adam. - Pewnie chce napiwku.
- Powiedz mu, żeby się dalej uczył.
- Już mówiłem.
- Oświadczył mi, że zamierzasz dać mu stypendium.
- Zrobię, co mogę.
- Adam, przestań ukrywać, jaki z ciebie fajny facet.
- Prawdopodobnie będziesz musiała mnie do tego skłonić.
- Nie, bo Mark już to zrobił. - Uśmiechnęła się.

Dzwonek znów się rozdzwoił.

- Daniel jest w każdym razie uparty - przyznał Adam. - To naprawdę bystry dzieciak. Rzuciłem okiem na jego wyniki, kiedy oddałem mu motocykl. Jak na chłopaka, który bywa w szkole raz w tygodniu, radzi sobie całkiem nieźle.
- Zupełnie jak ty - podsumowała rzeczowo. Dzwonek nieprzerwanie dzwoił.
- Nie mogę już tego wytrzymać.

Wstała i przeszła przez kuchnię. Zatrzymała się na moment i obrzuciła spojrzeniem stół, swój warsztat. Zastanowiła się, czy będzie jej brakowało tego zajęcia, i od razu uświadomiła sobie, że nie. Zawsze może do niego wrócić, kiedy znuży się życiem pełnym przygód. Jak gdyby przy Adamie można było znudzić się przygodami ...

Dzwonek wciąż dzwoił. W końcu otworzyła. To nie Daniel stał na ganku.

- Ledwo znalazłem drzwi w tych wszystkich kwiatach. - Mężczyzna w trzyczęściowym garniturze był zirytowany i nie w humorze.

Tory nawet nie mogła wydusić z siebie przeprosin. Jej ganek zawalony był kwiatami. Pachniały niebiańsko.

- Proszę wziąć sobie kwiaty dla żony - zaproponowała, otwierając siatkę zabezpieczającą.

Wzięła z jego rąk kopertę.

- Nie, dziękuję - odparł urzędowym tonem. - Proszę tu podpisać. Podpisała. Koperta miała nadruk kancelarii prawnej o której

nie słyszała. Mężczyzna odwrócił się i ostrożnie zaczął torować sobie drogę wśród kwiatów. I nagle Tory ujrzała w nim chodzący skutek nadmiernego planowania i przewidywania, które mogą życie uczynić cierpkim. Pragnienie przede wszystkim porządku i bezpieczeństwa może odebrać życiu całą radość:

- Proszę wziąć trochę kwiatów! - zawołała. - Mogą zmienić pana całe życie.

Obejrzał się i zmierzył ją wzrokiem. Wydawało się, że znowu odmówi. A potem zachował się tak, jak gdyby spostrzegł kwiaty po raz pierwszy.

- Ta odmiana jest bardzo ładna - powiedział i wziął bukiet krwistoczerwonych róż.

Uśmiechnęła się. Odwzajemnił niepewnie jej uśmiech i wciągnął zapach róż. Może nie zmieni się

jego całe życie, ale wyraz twarzy stał się przyjemniejszy.

Wróciła do Adama.

- To nie był Daniel, ale ktoś z kancelarii prawnej. Czytaj, bo ja prawdopodobnie i tak tego nie zrozumieję.

Wziął kopertę. Znał tę firmę prawniczą. Otworzył list i przeczytał:

*Według życzenia naszego zmarłego klienta, pana Marka Mitchella, niniejszy dokument wysyła się pani w oznaczonym terminie.*

Spojrzał na Tory. Patrzyła na niego zdumiona.

- Co to jest? - spytała.

Do oficjalnego listu, napisanego na maszynie na liniowanym papierze, dołączona była skromna kartka papieru kancelaryjnego.

- To list od Marka.

- Przeczytaj.

- "Tory i Adamie, moi drodzy" ...

- Skąd wiedział, że będziemy razem?

- Sądzę, że wiedział, co się stanie, jeśli nas razem zetknie.

- Czytaj to!

- Przeczytam, jeśli przestaniesz przerywać.

- Dobrze, dobrze.

*Tory i Adamie, moi drodzy! Gratulacje.*

*Pozdrowienia,*

*Mark*

- To wszystko? - zapytała Tory. Adam odwrócił kartkę i skinął głową.

- Przecież nie mógł wiedzieć, że właśnie mi się oświadczyłeś.

- Mój umysł prawnika mówi mi to samo, ale serce twierdzi, że wiedział. Zawsze wiedział. Cieszy się z tego, Tory, i chciał, żebyśmy o tym wiedzieli.

- On naprawdę czuwa nad nami - wyszeptała zdumiona.

- Myślisz, że zawsze będzie czuwał?

- Myślę, że za każdym razem, kiedy będziemy potrzebowali rikszy rowerowej albo psującego się motocykla, będziemy wiedzieli, że on jest z nami.

Roześmieli się i przez krótki moment był z nimi i też się śmiał. Tory spojrzała na Adama. Jego twarz promieniała miłością. Czuła się jak kwiat, który otwiera się na słońce. Z jej smutku wyrastała miłość, której nie można odrzucić. Prawdziwa miłość zawsze w życiu zwycięży.